

SZUKIEM ODMIENIÓW

MARCIN PIOTROWSKI
MACIEJ SZYMCIAK
PIOTR FERENS
FLORA WOŹNICA
MATEUSZ LEWARTOWSKI
KRYSZTOF KOCHANOWSKI
SANDRA GAT OSIŃSKA
PATRYK HIRSEKORN



SZLAKIEM ODMIENCÓW

Antologia Horror Online

Wszystkie prace zamieszczone w tej antologii zostały wybrane w Całorocznych Zawodach Literackich Horror Online przeprowadzonych w 2014 roku. Opowiadania zostały wyłonione na drodze głosowania przez czytelników i użytkowników strony.

Wydanie I

Opracowanie graficzne: Sandra Gatt Osińska

Organizacja i skład: Paweł Waśkiewicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autorów.

Zabrania się jej publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży.

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów:

Copyright © Marcin Piotrowski, *Skórzane piękno*, 2015

Copyright © Piotr Ferens, *Nienarodzeni*, 2015

Copyright © Maciej Szymczak, *Ciocia*, 2015

Copyright © Maciej Szymczak, *Rudy*, 2015

Copyright © Flora Woźnica, *Lustrzane odbicie*, 2015

Copyright © Krystian Kochanowski, Mateusz Lewartowski, *Karne odsetki*, 2015

Copyright © Sandra Gatt Osińska, *Pod ciężarem grzechu*, 2015

Copyright © Patryk Hirsekorn, *Łapacz myśli*, 2015

Drodzy Czytelnicy!

Ponieważ antologia ta jest tworem całkowicie darmowym, zrobionym przez pasjonatów i dla pasjonatów, jedyną formą zapłaty, jaką otrzymają jej twórcy, jest Wasze zainteresowanie. Żebyśmy mogli oszacować liczbę czytelników, chcemy wiedzieć dokładnie, ile razy antologia została pobrana. Dlatego prosimy Was o nierozpowszechnianie tego e-booka i ściąganie go bezpośrednio ze strony wydaje.pl. Będziemy wdzięczni za pomoc,

Twórcy „Szlakiem odmieńców”

MARCIN PIOTROWSKI

SKÓRZANE PIĘKNO

Michał trzymał w rękach swoje prace. Właśnie doszedł.

Ale nie masturbował się oglądając porno, erotykę czy nawet zdjęcia koleżanki na Facebooku. Robił to patrząc na swoją pracę, myśląc o tym, co za chwilę nastąpi. Myśl ta była tak podniecająca, że musiał sobie ulżyć.

Jego dziełem była Żaneta, koleżanka ze studiów, a właściwie nie ona, tylko to, co z nią uczynił. A jeszcze bardziej podniecało go to, co zamierzał zrobić. Planował od wielu miesięcy, a teraz był o krok od osiągnięcia celu. Chwila, na którą czekał, zbliżała się w ekspresowym tempie, a świadomość tego faktu nakręcała Michała to takiego stopnia, że musiał zwalić konia, żeby znów zacząć trzeźwo myśleć.

Żaneta podobała mu się od jakiegoś czasu. Była wysoką, szczupłą brunetką o czarnych oczach i śniadej skórze. O tak! Skóra! To właśnie go podniecało. Jej dotyk, smak, zapach. Nic nie mogło jej się równać.

Śledził Żanetę codziennie po zajęciach przez kilka miesięcy. Doskonale znał jej rozkład dnia. To dało mu możliwość ataku z zaskoczenia. Wykorzystał okazję bezbłędnie. Gdy już porwał dziewczynę i przywiózł do swojego domku, który stał na odludziu w małej wsi, mógł zacząć robić to, co kochał robić najbardziej. Rozebrał swoją zdobycz do naga i przywiązał w obskurnej piwnicy niczym bohater pewnego serialu o seryjnym mordercy.

Usiadł obok stołu, na którym leżała nieprzytomna Żaneta. Z niecierpliwością oczekiwał, kiedy się wreszcie ocknie. Gdy w końcu się obudziła, wstał i spojrzał jej prosto w oczy. Uwielbiał ten strach zaraz po przebudzeniu, kiedy ofiary jeszcze nie rozumiały, co się dzieje, a już się bały. To było takie podniecające! Dziewczyna nie mogła wydać żadnego odgłosu, gdyż była zakneblowana. Próby krzyku pobudzały Michała.

Jednak jej nie zgwałcił. O nie, Michał nie był gwałcicielem. Zamiast tego wolał rozkoszować się jej strachem, aż do ostatecznego aktu kończącego żywot dziewczyny. Wziął swój ulubiony, piekielnie ostry nóż i pokazał go ofierze, która zaczęła płakać, szamotać się, nie wspominając o kolejnych nieudanych, stłumionych wrzaskach.

Oprawca szybkim, pewnym ruchem podciął jej gardło, kończąc krótkie życie pięknej Żanety. Właśnie wtedy zaczął się masturbować. Gdy skończył, gdy emocje i podniecenie spłynęły z niego, sięgnął po swój przyrząd do skórowania. Tak właśnie to chciał zrobić – ściągnąć skórę z Żanety.

Nie było to ani łatwe, ani szybkie, ale jakże satysfakcjonujące. Przy swojej ulubionej czynności Michał starał się zdzierać jak najdłuższe płaty, zwłaszcza z pleców, gdzie ofiara miała bardzo ładny tatuaż przedstawiający pawie pióro. Wiedział, że prawdopodobnie to właśnie ten odcinek wykorzysta, i chociaż cała reszta pozyskanego surowca była mu niepotrzebna, to oddał się w pełni skórowaniu, które było tak pasjonujące, że nie zaprzętał sobie głowy tym, czy ów materiał wykorzysta, czy też nie.

Jedyną częścią ciała, której nie ruszył, była twarz, której jako osoba wrażliwa na piękno po prostu nie mógłby zniszczyć. Gdy wreszcie skończył, wziął płat z pleców i wyciął z niego idealny kwadrat o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów. W środku znajdowało się oczywiście pawie pióro. Mając już nadający się kawałek skóry, Michał rozebrał się.

Widok jego nagiego ciała był iście szokujący. Do przedramion, ud i klatki piersiowej przyszyte miał płaty skóry poprzednich ofiar. To był jego sposób na pozostawienie swych oblubienic przy sobie na zawsze. Wziął wycięty fragment i zaczął go sobie przyszywać do brzucha. Gdy wbijał igłę w jej skórę, a następnie w swój brzuch, gdy czuł ból i widział własną krew spływającą po jej tkankach, czuł tę niesamowitą więź, czuł, że ją posiadał, tak jak nikt do tej pory i nigdy więcej już jej nie posiadał. Czuł, że stali się jednością.

Wiedział że przyszywając sobie jej skórę, przyszywa jej duszę do swojej. Wiedział, że już wcześniej przytwierdzone dusze Moniki, Ewy i Ani zaakceptują Żanetę. W końcu były do siebie tak podobne.

Michał czuł się szczęśliwy. Nie mógłby nawet marzyć o poderwaniu którejkolwiek z tych piękności, a teraz miał je wszystkie. Duma go rozpierała. Duma i szczęście. A czy w życiu nie chodzi o to, aby być szczęśliwym? Dlatego Michał to robi i będzie robić, dopóki starczy mu miejsca na ciele na kolejne płaty skóry, i dopóki jego dusza wciąż będzie gotowa przyjmować nowe lokatorki...

PIOTR FERENS

NIENARODZENI

Kiedy Evelyn zaciągnęła mnie do wróżki, nie sądziłem nawet, że będzie to preludium do największej przygody mojego życia. Chociaż z drugiej strony, nie byłem w stanie stwierdzić, czy w tej mojej nieco nudnej egzystencji nie czekało mnie coś jeszcze bardziej spektakularnego. Miałem jedynie szczerą nadzieję, że nie.

Była wczesna jesień i mimo, że było jeszcze całkiem ciepło i słonecznie, drzewa zaczęły już szcudrze sypać liśćmi. Kilka chmur na niebieskim niebie wyglądało jak przyklejone na niebieskiej kartce wycinanki z papier-mâché.

Weszliśmy właśnie do obskurnej kamienicy i wspięliśmy się po wysokich schodach na drugie piętro. Evelyn wcisnęła guzik dzwonka i prawie natychmiast odrapane drzwi uchyliły się. W końcu wróżka to w zasadzie jasnowidz, tylko o szerszych kompetencjach. Tak przynajmniej sądziłem.

Ujrzelśmy czeluść ciemnej sieni, pozbawionej kolorów i kształtów. Mój wzrok powoli przyzwyczajał się do panującego mroku. Po chwili z trudem rozpoznałem zarys smukłej postaci stojącej tuż przy drzwiach.

– Witam i zapraszam — usłyszałem miękkiej kobiecej głosu. Odniosłem wrażenie, że jego brzmienie jest aż nazbyt teatralne. Skrzywiłem się z niesmakiem, co oczywiście bystre oko Evelyn natychmiast wychwytiło. Stuknęła mnie łokciem pod żebro.

– Zachowuj się — syknęła.

Prawie po omacku dotarliśmy do dużego salonu, w którym kilka dyskretnych lampek rzuciło rozmazane pasma mdłego światła na ściany i mahoniowe meble. Tak właśnie wyobrażałem sobie gabinet wróżki. Mimo wszystko, całe to otoczenie śmieszyło mnie i czułem się jak dorosły facet w piaskownicy. Wymuszona aura tajemniczości, wszechobecna mroczność i te wszystkie niesamowite gadżety na mnie osobiście wywierały efekt odwrotny do zamierzonego.

Wróżka wskazała nam dwa krzesła i usiadła naprzeciw nas, za rozłożystym biurkiem, na którym, a jakże, stały dwie przeźroczyste kule. Poza tym dojrzałem kilka pudełek, zapewne z kartami, oraz ze trzy talie odłożone na boku. Pomyślałem, że goście z Hollywood mogliby tu kręcić filmy o złych czarnoksiężnikach, nie tracąc czasu na ułożenie odpowiedniej scenerii. Zajęliśmy wskazane miejsca. Dzięki stojącej na stole lampce mogłem w końcu dojrzeć twarz wieszczki. Z pewnością była już dobrze po pięćdziesiątce. Zbyt ostry makijaż i natapirowane włosy tworzyły dość oryginalny wizerunek. Na sobie miała wzorzystą długą suknię w kolorze nocy, ze srebrnymi gwiazdkami różnej wielkości.

Po krótkiej wstępnej rozmowie i wymianie stonowanych uprzejmości, wróżka spojrzała na mnie badawczo i powiedziała:

– Musi pan uważać na swojego brata.

– Ale ja nie mam brata – zaprzeczyłem.

Jej wzrok stał się bardziej przenikliwy i przez kilkanaście długich sekund nie odrywała ode mnie swoich świdrujących oczu.

– Jest coraz bliżej. Więcej nie mogę panu powiedzieć.

– Jak to jest coraz bliżej? A skąd jedzie, jeżeli już? Zresztą... — Machnąłem ręką. — Jak mówiłem, nie mam brata.

– Zaręczam panu, że go nie wymyśliłam.

– Nie? Więc skąd się w takim razie wziął?

– Sam musi pan to ustalić i radzę to zrobić. Pański brat jest coraz bardziej zły.

– Aha. — Uśmiechnąłem się głupkowato. — Czyli nie dość, że właśnie dowiedziałem się o tym, że mam brata, którego nie mam, to jeszcze jest on na mnie zły. — W tym momencie poczułem mocnego kuksańca w udo. To była Evelyn, która próbowała przywołać mnie do porządku. Spojrzałem na nią i ponownie zwróciłem się do wróżki: — Ciekawe za co?

– Rozumiem pański sceptycyzm — odparła. — Ale, proszę mi wierzyć, to w niczym panu nie pomoże. Nie tacy jak pan już mnie wyśmiewali, a potem wracali do mnie z przeprosinami.

– Z pewnością — burknąłem. — Pozwoli pani, że zaczekam na zewnątrz.

Wstałem, głośno odsuwając krzesło.

Wyszedłem na ulicę i stanąłem pod murem kamienicy. Wyciągnąłem przedostatniego papierosa z paczki i zapaliłem. Ręce mi drżały i płomień z zapalniczki trząsł się i chybotał na wszystkie strony. Nie potrzebnie się tak denerwuję. Zaciągnąłem się mocno i powoli wypuściłem dym z płuc.

Po niespełna dwudziestu minutach skrzypnęły drzwi i pojawiła się Evelyn.

– I co ci przepowiedziała? — zapytałem, wrzucając niedopałek do kratki kanalizacyjnej przy krawężniku.

– Chciałbyś wiedzieć, co? — Uśmiechnęła się filuternie.

– No nie wiem. — Zrobiłem przerażoną minę rodem z horrorów klasy C. — Jeżeli to coś straszego, to może lepiej nie?

– Przestań. — Roześmiała się. — Ze mną wszystko okay. Mam szansę zostać sławną pisarką.

– No to musisz zacząć więcej pisać niż czytać.

– Wiem.

– Wiem, że wiesz. Dobrze, że chociaż ty załapałaś się na dobrą wróżbę. Moja nieszczególnie przypadła mi do gustu.

– Mike, kochanie. — Objęła mnie w pasie i przytuliła się. — Nie możesz tak traktować ludzi.

– To ona zaczęła.

– Wykonywała swoją pracę.

– Ta, jasne, stuknięty babsztyl — mruknąłem.

– Daj spokój. Zresztą, skąd wiesz? Może w tym, co powiedziała ci Sanderina coś jednak jest?

– Niby co?

– Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Może bardziej chodziło jej o twojego duchowego brata? No wiesz, kogoś bliskiego twojemu sercu?

Nic na to nie odpowiedziałem. Nie znałem nikogo, kto mógłby być moim duchowym bratem. Muszę przyznać, że gdybym wiedział, co ma się wydarzyć, właśnie teraz zacząłbym się bać.

* * *

Dwa dni później, wczesnym rankiem, spakowaliśmy się i zajęliśmy miejsca w moim nieco wysłużonym fordzie sierra. Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Rozrusznik z charakterystycznym grzechotem rozpoczął swój mechaniczny taniec.

– Mógłbyś coś zrobić z tym samochodem — powiedziała Evelyn, ziewając.

– Na przykład co konkretnie?

– Nie wiem. Może go wymienić?

– Spełnia moje oczekiwania, a ja jego. Ten duet się sprawdza.

W tym momencie silnik warknął i wszedł na obroty.

– Widzisz? Jest czuły na komplementy, więc bądź uprzejma nie poruszać przy nim kwestii wymiany na inny model, dobrze?

– W porządku. Chyba obaj jesteście czuli na komplementy.

– Wyjątkowo się z tobą zgadzam.

Ruszyliśmy w drogę.

* * *

Kilka godzin później dotarliśmy na miejsce. Samochód zostawiliśmy na parkingu, a my wraz z bagażami ruszyliśmy w kierunku nabrzeża. Powoli zbliżał się wieczór. Wiszące nad horyzontem wielkie pomarańczowe słońce ozdabiało złotymi refleksami lustro pomarszczonej wody. Nasze podeszwy stukwały o deski pomostu, woda chlupotała o podtrzymujące pale, a z północy dało się wyczuć delikatną bryzę nasączoną zapachem oceanu.

Pełnomorski jacht żaglowy o wdzięcznej nazwie Vent stał zacumowany przy kei. Niestety nie należał do mnie, tylko do mojego przyjaciela Jerrego, do którego pieniądze wprost Ignęły. Na mnie fortuna rzadko kiedy choćby spoglądała. A jeżeli nawet, to krótko i niechętnie.

Weszliśmy na pokład.

– Dziś przenocujemy tutaj, w porcie, a jutro z samego rana, po śniadaniu, wypływamy – zakomenderowałem.

– Wspaniale.

– Ja myślę. — Uśmiechnąłem się i pocałowałem Evelyn.

– Myślałam, że będzie większy. — Przebiegła wzrokiem wzdłuż pokładu łodzi.

– Większy? O przepraszam, że śmiałem rozczarować księżniczkę wymiarami. Ten jacht ma ponad dwanaście metrów długości i prawie cztery szerokości. Jego masa to przeszło osiem i pół tony. Moc silnika to ponad pięćdziesiąt pięć koni mechanicznych. Jeden maszt, dwa żagle. Fok o powierzchni przeszło dwudziestu siedmiu metrów kwadratowych oraz grot, który ma więcej niż trzydzieści sześć metrów kwadratowych. Cztery kabiny, pełna elektronika...

– Dobrze, dobrze. — Podniosła rękę w geście poddania. — Zrozumiałam. Jest genialny. Żle popatrzyłam, pod słońce, wiesz?

— Chyba że tak. Pod słońce wszystko jest mniejsze.

Oboje roześmialiśmy się podekscytowani wizją kilku wspólnych dni odpoczynku na wodzie.

Szybko rozlokowaliśmy się w nowym miejscu. Zanim poszliśmy spać, sprawdziłem jeszcze prognozy pogody na następny dzień. Wszystko wskazywało na to, że aura była do nas ustosunkowana życzliwie.

* * *

Wstałem skoro świt. Evelyn jęknęła przez sen coś na kształt:

— Chyba zgłupiałeś... — I przewróciwszy się na drugi bok, spała dalej w najlepsze.

Poranek powitał mnie pięknym słońcem i niezmaconą ciszą. Jedyne parka mew latała w pobliżu i przekrzykiwała się skrzekliwymi głosami, to oddalając się, to znów powracając. Wyglądało to tak, jakby sprzeczali się o coś ważnego. Wiatr nieco zmienił kierunek oraz siłę i powiewał teraz trochę mocniej z północnego-wschodu. Ponownie sprawdziłem prognozy i po raz kolejny dane potwierdziły, że wszystko jest i będzie w jak najlepszym porządku.

Uruchomiłem silnik i przy akompaniamencie jego cichego powarkiwania oraz nadal kłócących się mew powolutku wypłynąłem z niedużego portu. Patrzyłem prosto przed siebie, podziwiając niekończącą się przestrzeń i z radością wciągając w płuca morskie powietrze. Boże, jak ja to Kocham! Rzuciłem okiem przez ramię; nieliczne zabudowania wybrzeża stawały się coraz mniejsze i mniejsze, jakby ktoś spuszczał z nich powietrze.

– Oddaj... — Usłyszałem bardzo wyraźnie tuż koło ucha, ale przecież na pokładzie, poza mną, nikogo nie było. Pewnie to wiatr. Wielu ludzi nie ma nawet pojęcia, jak zadziwiające dźwięki może wytworzyć strumień powietrza, jeżeli tylko pada pod odpowiednim kątem i na odpowiednią przeszkodę. A tym bardziej na pokładzie jachtu, na którym jest sporo metalowych linek podtrzymujących żagle i różnego rodzaju innych kształtów, jak choćby relingi. W swojej karierze wilka morskiego słyszałem już wyrzeźbiony przez pęd wiatru płacz dziecka, nieokreślone pomrukiwania, odgłos szurania, a nawet zgrzytanie zębów. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze cichsze lub głośniejsze dźwięki pracujących materiałów, z którego zbudowana została jednostka wodna, chlupot wody. Cała ta dźwiękowa menażeria jest niczym swoista oceaniczna opera.

Po niespełna godzinie, pojawiła się Evelyn.

– Jaki mamy plan? — Zapytała dając mi całusa na przywitanie.

– Poza horyzonty morza, hen ku gwiazdom co błyskają, pływamy, pływamy bez ustanku, by przemierzyć bezmiar wód... — Zanuciłem jedną ze znanych mi szant.

– A gdy przyjdzie nam ochota w port zawińmy naszą łajbę, by po chwili znów wyruszyć w morskich przygód ciemną toń.

– Znasz szanty? — Zdziwiłem się. — Nigdy się nie chwaliłaś.

– Powiedzmy, że się przygotowałam. — Powiedziała i cmoknęła mnie w policzek. — Jadłeś coś? Zaprzeczyłem.

– To idę zrobić jakieś śniadanko.

– Świetna myśl.

Na samo wspomnienie o jedzeniu poczułem się bardzo głodny. Żołądek natychmiast zaburczał głośno, jakby chciał zaznaczyć, że słyszał, co się szykuje. Przełknąłem ślinę.

Z Evelyn zaliśmy się niespełna sześć miesięcy, ale miałem wrażenie, jakby minęło już kilka lat. Świetnie się dogadywaliśmy, choć zdarzały się i sprzeczki. Była ode mnie młodsza o pięć lat. Mi stuknęła już trzydziestka. Niedawno skończyła studia bibliotekoznawstwa, a z braku innych ciekawych propozycji przyjęła posadę w niewielkiej księgarni. Poza tym, cóż, proza życia; miała boski tyłek i wspaniałe, małe piersi. Bo nie wiem czy wiecie, ale to mit, że faceci szaleją tylko za wielkimi biustami. Nie przeczę, są i amatorzy wielkości ponadwymiarowych, ale jeżeli chodzi o mnie, a także paru moich kumpli, preferujemy, że tak powiem, rozmiar na dłoń. Czyli co się w dłoni mieści, to się fajnie pieści.

Wyłączyłem silnik i zająłem się postawieniem żagli.

* * *

Cały dzień upłynął nam na leniwym żeglowaniu. Opalaliśmy się na pokładzie, gadaliśmy o głupotach i zajadaliśmy się lekko zmrożonymi owocami. Wybrzeże przybrało kształt cienkiej linii oddzielającej wodę od nieba. Wiatr raz cichł do prawie niewyczuwalnych podmuchów, to znów wzrastał się nieco, jakby właśnie ktoś go obudził. Przez te wszystkie godziny minęliśmy tylko jedną łódkę podobnej wielkości oraz jakąś malutką łupinę, którą określiłem mianem chechtaka. Słońce dawno temu minęło już zenit i teraz opadało niespiesznie ku wodzie, tworząc na jej powierzchni

złocisty szlak rozmigotanych iskier. Błady, eteryczny księżyc odznaczał się nieśmiało rogalowatym kształtem na zbyt jasnym niebie i sprawiał wrażenie, jakby zabłądził tutaj z zupełnie innej galaktyki.

Po wspaniałej kolacji pod gwiazdami zakrapianej dwoma rodzajami wina, wylądowaliśmy w obszernym łóżku, gdzie Evelyn pokazała mi nową sztuczkę z przedziału tak zwanej gimnastyki erekcyjnej. Sama wymyśliła to określenie i musiałem przyznać, że było wybitnie trafne. Na samo wspomnienie łapią mnie dreszcze. Wiecie, te przyjemne.

W nocy obudził mnie jakiś hałas. Nie byłem pewien co do jego rodzaju, ani tym bardziej źródła. Wsparłem się na łokciach i usiłowałem dojrzeć coś w mroku. Jachtem delikatnie kołysało. Woda chłupotała o burty, jakby do drzwi dobijał się zmęczony wędrowiec, a wiatr zamilkł, jak gdyby sam poszedł spać, zmęczony całodniowym naganianiem fal.

Evelyn leżała po mojej prawej stronie i oddychała miarowo. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Po chwili znowu to usłyszałem: szszrrrr, szszrrrr, szszrrrr,

Zmarszczyłem brwi. Miałem wrażenie, że dźwięk dochodził z najciemniejszego kąta. Odrzuciłem lekkie nakrycie i wstałem. Sięgnąłem po niewielką latarkę leżącą na stoliku obok. Pstryknąłem we włącznik i omiotłem wąskim, zimnym promieniem całą kajutę. Nic. Ani żywego ducha. Sprawdziłem pozostałe pomieszczenia, ale niczego nie znalazłem. Wyszedłem więc na pokład. Chłodna bryza z zachodu objęła moją twarz przyjemnym dotykiem wietrznych dłoni. Światła burtowe i masztowe wyglądały jak skrzące się rubiny. Było cicho i spokojnie. Gdzieś w dali dostrzegłem światła jakiegoś innego statku, z pewnością o wiele większego od naszego jachtu. Z tej odległości wydawało się, że świetliste punkciki zbiegały się w pojedynczą migotliwą linię.

Powoli ruszyłem w stronę dziobu. Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś na nim stoi. Zmartwiałem. Kształt był smukły, wysoki i widać było przez niego gwiazdy.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć mi do ataku lub obrony. Wszystko zależało od intencji tego czegoś. Stwierdziłem, że jedyną sensowną bronią, której mogę użyć jest latarka. Miała dosyć twardą obudowę.

– Kim jesteś? – rzuciłem półszepem.

Postać ani drgnęła.

– Mów, kim do cholery jesteś, i jak się tutaj znalazłeś!?

Powoli zbliżałem się, coraz mocniej ściskając w dłoni prowizoryczną broń. Kiedy znajdowałem się w odległości około dwóch metrów, postać nagle się rozviała. Zatrzymałem się zdumiony i zamrugałem oczami.

– Na ognie świętego Elma – powiedziałem nie za bardzo wiedząc, co tym sądzić.

Tuż za mną powiał wiatr. Zdawało mi się, że słyszę coś na kształt słów wplecionych w jego szum, ale nie byłem w stanie ich rozpoznać.

Dla spokoju ducha sprawdziłem cały pokład. Nie znalazłem już jednak żadnych podejrzanych cieni. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Spokojny ocean kołysał nas miarowo i delikatnie.

Stwierdziłem, że nic tu po mnie i wróciłem do łóżka.

* * *

Minęło właśnie południe. Słońce prażyło jakby chciało wytopić z nas cały tłuszcz. Postanowiłem pójść pod pokład po jakąś książkę i przy okazji przynieść coś chłodnego do picia. Kiedy schodziłem pod pokład, w pewnym momencie dojrzałem cień sylwetki, która na moment jakby się zawahała, a

zaraz potem czmychnęła na lewo, w kierunku kuchni. Zmarszczyłem brwi i już chciałem zawołać: Evelyn? Ale ona przecież opalała się na górze. Cofnąłem się, tak że jedynie moja głowa wystawała ponad powierzchnię pokładu. Evelyn spała.

– Co jest, do cholery? — mruknąłem do siebie, bardziej poirytowany niż zdenerwowany. — Może to ten sam gość, którego widziałem w nocy na dziobie? Ale to przecież niemożliwie, żeby na dwunastometrowym jachcie ktoś zdołał się niepostrzeżenie ukryć.

Wszedłem hałaśliwie do środka, mając nadzieję przestraszyć i wypłoszyć ewentualnego pasażera na gapę. Nic się jednak nie stało. Nie dojrzałem żadnego podejrzanego ruchu, nie usłyszałem też jakiegokolwiek podejrzanego dźwięku. Nic. Dla własnego spokoju przejrzałem dokładnie wszystkie pozostałe pomieszczenia, zaglądając w każdy kąt, a nawet otwierając szafki w kuchni, gdzie zmieścić się mogło co najwyżej jakieś dziecko albo karzeł. Nic. Pusto.

– Kimkolwiek jesteś, wyłaź! Inaczej...

– Oddaj! — Tym razem szept był wyraźniejszy i mocniejszy. Może to tylko moja wyobraźnia, ale miałem wrażenie, że poczułem na skórze szyi ciepły podmuch czyjegoś oddechu. Odwróciłem się gwałtownie. Oczywiście nikogo nie było.

Poczułem, jak gęsia skórka obiega moje ciało, a wzdłuż kręgosłupa niemrawo pełźnie zimny dreszcz. Przełknąłem głośno ślinę i odchrząknąłem.

– Weź się w garść, Mike — szepnąłem do siebie. — Nie możesz być taką trzęsidupą. Nie ty, wilku morski. Poradzisz sobie, cokolwiek by to nie było.

– Jest moje! — powiedział ktoś. Głos z całą pewnością dochodził z najciemniejszego kąta. Tam, gdzie stała szafa na ubrania.

Nie namyślając się zbyt wiele, jednym susem doskoczyłem do włącznika i uderzyłem w niego dłonią. Światło w jednej chwili zdużyło wszelkie mroki i cienie. Wszystko stało się bardziej przyjazne. Niesamowite, zrodzone w wyobraźni kształty pierzchły. Zlustrowałem wszystko wzrokiem, ale nie znalazłem niczego odbiegającego od normy. Nawet koszula, którą rano rzuciłem na poduszkę, nadal tam leżała.

– Chyba nerwy ci puszczają — powiedziałem sam do siebie. — Nikogo tutaj nie ma.

Podszedłem do szafki przy łóżku i schyliłem się, by wyjąć z niej książkę. Wtedy poczułem niespodziewane mocne pchnięcie w plecy. Zachwiałem się i straciłem równowagę. Poleciałem prosto na szafkę. Cudem udało mi się w ostatnim momencie szarpnąć głową, przez co uderzyłem kością policzkową w jej obłą część. Niewiele brakowało, a mógłbym stracić oko. Dźwignąłem się na nogi i rozejrzałem po kabinie. Nikogo. Pusto.

Przyrządziłem lekkie drinki i wziąłem ze sobą szwedzki kryminał o wiele mówiącym tytule "Krwawy mróz". Skoro żar leje się z nieba, niech przynajmniej ze stron książki bije chłód — pomyślałem i uśmiechnąłem się do siebie.

– Co ci się stało? — Evelyn uważnie przyglądała się mojej twarzy.

– Przywitałem się z szafką. To było niemal jak pocałunek.

– Myślałam, że ktoś, kto przepłynął tyle mil, potrafi ustać na kotłującym się pokładzie.

– Potrafi, ale tylko do czasu.

* * *

Po południu wiatr zmienił gwałtownie kierunek i stał się bardziej porywisty. Evelyn zeszła na dół wziąć prysznic. Ja natomiast stanąłem za sterem i uważnie przyglądałem się chmurom raz falom. Nie

wyglądało to dobrze. Mimo, że prognozy niczego takiego nie zapowiadały, wszystko wskazywało na to, że zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Zablokowałem koło sterowe i czym prędzej ruszyłem, aby zrefować żagle. Ledwo ściągnąłem fok, kiedy niebo pociemniało raptownie. W jednej chwili zmaterializowały się wielkie chmury. Wiatr szarpnął rozwiniętym grotem. Wiedziałem, że pozostały mi tylko sekundy. Uwijałem się jak najszybciej mogłem. Udało mi się zrefować grot, kiedy wiatr uderzył w nas ze zdwojoną siłą. W ułamku sekundy jacht przechylił się o ponad trzydzieści stopni. Straciłem równowagę i gdyby nie końcówka liny, którą zdołałem złapać w dosłownie ostatniej chwili, nie byłoby mnie już na pokładzie.

– Dureń! – warknąłem sam na siebie.

Powinien był się przypiąć.

Ocean zmienił barwę na granat nocy i pomrukiwał teraz ze złością rodzącą się w coraz większych falach. Pojawiły się pierwsze spienione grzbiety i słychać było huk przelewającej się wody.

Jakoś udało mi się dotrzeć do steru. Chwyciłem go mocno i odblokowałem. Błyskawicznie zacząłem manewrować w taki sposób, aby ustawić łódź dziobem do piętrzących się fal. W pewnej chwili potężne szarpnięcie wyrwało mi ster z rąk i jego koło zaczęło z niewiarygodnym pędem obracać się w przeciwnym kierunku. Szybko pojąłem, że jeżeli czegoś nie zrobię, ten manewr ustawi łódź bokiem do fali. A to byłoby bez wątpienia najgorszą z możliwych pozycji.

– Mike! — krzyknęła Evelyn. — Co się dzieje!?

– Jak to co!? — odkrzyknąłem, starając się nadać swojemu głosowi dziarsko-obojętny ton. — Walka z żywiołem!

– Mam nadzieję, że wygramy tę potyczkę! — W jej głosie pobrzmiwał strach i trudno było się jej dziwić. Nigdy wcześniej nie pływała na pokładzie takiej łodzi. Miała do czynienia tylko z kajakami, i to z całą pewnością w trakcie ładnej pogody. Ciemnogranatowe zwały chmur przewalały się nam nad głowami, pędząc na złamanie kłębiastych karków.

– Evelyn! — Starąłem się przekrzyczeć świst powietrza.

Spojrzała na mnie.

– Idź pod pokład, załóż kamizelkę i przypnij się do czegoś.

Pobladła w jednej chwili.

– Tylko na wszelki wypadek. — Uśmiechnąłem się sztucznie.

Nic nie mówiąc, zniknęła w wejściu prowadzącym do kabin.

Jacht obrócił się już o jakieś siedemdziesiąt stopni. Na szczęście pędząca na nas fala zaczynała się załamywać. Nigdy nie byłem specjalnie religijny, ale teraz zacząłem się żarliwie modlić. Do wszelkich znanych mi bóstw, tak na wszelki wypadek. Fala ugięła się dokładnie po środku długości naszej łodzi i rozdzieliła jak ustępujące przed Mojżeszem Morze Czerwone. Koło sterowe zwolniło szaleńczy pęd i w końcu udało mi się je złapać bez ryzyka połamania palców. Szybko machnąłem nim w odwrotnym kierunku.

– Rozpieprzę was! — doszedł mnie całkiem wyraźny głos z prawej strony. Brzmiał, jakby był zły, wręcz wściekły. Czuło się w nim tyle negatywnych emocji, że aż zaparło mi dech w piersiach. Rzuciłem okiem w prawo, ale niczego nie dojrzałem.

– Wal się! — warknąłem, pełen złości.

Nie wiem, co to było, ale zaczynało działać mi na nerwy. Przez głowę przeszła mi myśl, czy czasem ta cała Sanderina nie przyczepiła do mnie jakiegoś pomniejszego złośliwego demona. Jak one się nazywają? Poltegreist?

– Mam się walić? — Zdziwienie w tonie tego czegoś nawet mnie rozbawiło. Ostatnia sylaba zabrzmiała nieomalże wysokim C.

– Tak! – rzuciłem przez zaciśnięte zęby. — Masz się walić! I to jak najdalej stąd!

Przez chwilę słyhać było tylko wycie wiatru, szum wzburzonego oceanu i niepokojące dźwięki poddawanego niemałym przeciążeniom kadłuba. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że jeżeli rozwalę ten jacht, to chyba rzeczywiście wolałbym nie przeżyć. Przecież nie splącę go przez następnych kilka swoich wcielań. Ale nie – uspokoiłem sam siebie. Na pewno Jerry go ubezpieczył i to na niebagatelną sumkę. Wtedy ponownie posłyszałem ten głos.

– Nic z tego, braciszku.

Zmartwiałem.

– C-c-co? Co ty powiedziałaś? — zapytałem.

– Jestem coraz bliżej. Nim uda wam się przepłynąć kolejnych dwadzieścia mil, dopadnę ciebie i tę twoją sukę! — Te ostatnie słowa, "Dopadnę ciebie i tę twoją sukę", wypowiedziane zostały mocnym chrapliwym głosem, zakończonym młaśnięciem, jakby to coś miało zamiar rozerwać nasze ciała na kawałki i pożreć je na surowo.

Poczułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Chciałem zawołać Evelyn, ale przypomniałem sobie, że przecież na moje polecenie schroniła się pod pokładem.

Zebrałem się w sobie i z całych sił ścisnąłem ster. Żaden pieprzony duch nie będzie próbował mnie zastraszyć! Nawet jeżeli jest moim cholernym bratem! Na tej fajbie to ja jestem kapitanem, i to ja wydaję polecenia.

Poczułem się nieco lepiej.

Wiatr jakby się uspokoił, a chmury nieco przerzedziły. Wypiętrzone fale nagle opadły, jakby zabrakło im sił, albo jakby stwierdziły, że nie jesteśmy warci zachodu.

Zaiskrzyło słońce.

Na schodach prowadzących pod pokład pojawiła się Evelyn.

– Już po? — rzuciła niepewnie.

– Po.

– Co to było?

– Biały szkwał.

– Czytałam o tym, ale to przecież ponoć dosyć rzadkie zjawisko, prawda?

– Nawet bardzo. Osobiście mam z nim do czynienia po raz drugi w życiu.

– Nic go nie zapowiadało.

– Jak zawsze. Szkwał pojawia się niespodziewanie. Przychodzi z jasnego nieba. Dlatego właśnie jest taki niebezpieczny.

– Boże — jęknęła. — Naprawdę myślałam, że już po nas.

– No, ja też.

Jej oczy zwęziły się w małe szparki.

– Jak to też!? Powiedziałaś, że mam iść pod pokład, ubrać kamizelkę i przypiąć się do czegoś. Tylko na wszelki wypadek. To zabrzmiało, jakbyś nad wszystkim panował.

– Mniej więcej tak było. — Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. — Na szczęście teraz możesz już zdjąć to pomarańczowe wdzianko. — Wskazałem na kamizelkę.

Przez krótką chwilę rozważałem, czy nie powiedzieć jej o tym, co mi się właśnie przytrafiło, ale obawiałem się, że zaraz zacznie wspominać naszą wizytę u wróżki. Postanowiłem to przemilczeć. Usilnie wmawiałem sobie, że to wszystko wynik stresu, który właśnie powoli odpuszcza, a wszelkie przywidzenia i przesłyszenia to tylko efekt uboczny. Ludzka psychika często w niekonwencjonalny sposób stara się sobie poradzić z emocjonalnymi ładunkami, które niesie ze sobą życie.

* * *

- Dokąd idziesz? – zapytała Evelyn, podnosząc wzrok znad książki
- Zaraz wracam. Idę na dół. Muszę sprawdzić prognozy i zerknąć na nawigację.

Kiedy znalazłem się w kajucie, zobaczyłem go. Siedział na łóżku i coś do siebie mruczał. Kiedy wszedłem, podniósł głowę. Nie miał twarzy, a jedynie smoliste wnętrze, wypełnione czymś, co przywodziło na myśl kłębowisko pełne czarnych, oślizgłych czerwi.

– Jesteś mi winny życie — wyszczał.

– Jakie życie!? O czym ty chrzaniisz!? Kim w ogóle, do cholery, jesteś i jak się tutaj dostałeś? – Starałem się nie krzyknąć, żeby nie zaalarmować Evelyn.

– Zabiłeś mnie w łonie naszej matki. To przez ciebie pozostałem nienarodzonym.

Przez głowę przemknęła mi elektryzująca myśl, że ta cholerna wróżka miała rację. Czy to naprawdę możliwe, aby to był mój nienarodzony brat? Ale czym on był? Duchem? Zjawą?

– Wybacz braciszku, ale nic nie pamiętam – mruknąłem. – Nawet jeżeli podejmowałem jakieś działania, to były one tylko i wyłącznie wynikiem mechanizmu zwanego instynktem, bez udziału mojej woli czy świadomości, więc trudno, żebyś mnie o to oskarżał.

– Nie interesują mnie twoje tłumaczenia! Przyglądałem ci się od dłuższego czasu i...

– I co!? – Przerwałem mu. – Doszedłeś do wniosku, że masz prawo ingerować w moje życie!?

– Tak! Wystarczająco już z niego skorzystałeś. Teraz moja kolej!

– To idź i znajdź sobie jakieś wolne ciało, dobra? A od mojego się najwyczajniej odpieprz!

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Dopnę swego. Zabiorę twoje ciało.

– A dokąd?

– Co? – Widać w końcu udało mi się go zbić z pantafelku.

– Pytam dokąd chcesz zabrać moje ciało.

– Zabiorę je dla siebie! — krzyknął. Jego głos przypominał teraz huczący pomiędzy skałami wiatr. – Czas oddać je młodszemu bratu!

– Nie sądzę.

– Przy okazji obiecuję, że zaduszę też tę twoją sukę.

– Co ty powiedziałeś? – Moje dłonie zacisnęły się w pięści.

– Słyszałeś i wiesz, że mogę to zrobić.

Spoglądałem na niego i zastanawiałem się czy aby na pewno nie oszalałem. Przecież to, co właśnie widziałem, mogło dziać się tylko w mojej głowie. A jeżeli nie, to jaką strategię powinienem teraz przyjąć? Nie miałem doświadczenia w walce z duchami. Ale oczywiście zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że rzucanie się na taką istotę z pięściami jest z góry skazane na niepowodzenie.

– Posłuchaj – zacząłem. – Nic do ciebie nie mam i nie wiem, dlaczego tak się mnie uczepliłeś. Przecież nie miałem wpływu na nasze narodziny. Jeżeli uraziłem cię w jakiś sposób, to przepraszam. Nie jestem złym człowiekiem i nie sądzę, abyś ty nim był.

– Nie dałeś mi nawet szansy na to, bym stał się człowiekiem. Gdyby ciebie tam nie było, urodziłbym się.

– Powtarzam ci, że nie miałem na to wpływu, tak? Nawet tego nie pamiętam – dodałem zrezygnowany.

Przyglądał mi się, a przynajmniej takie odnosiłem wrażenie, bo przecież nie miał oczu. Kłębiący się w jego wnętrzu mrok zdawała się intensyfikować.

– Mike? – Usłyszałem głos Evelyn. – Co tak długo?

Odwrociłem się i dojrzałem jedynie jej nogi.

– Już idę skarbie – wykrztusiłem.

Spojrzałem ponownie na mojego brata, ale na miejscu, gdzie przed chwilą siedział, nie było już nikogo. Rozejrzałem się po kabinie. Ani śladu.

– Mike? Stało się coś? – Zeszła do mnie przyglądając mi się uważnie.

– Co? Nie. Nie – zaprzeczyłem gwałtownie, kręcąc głową.

– Dziwnie wyglądasz. Jesteś blady jakbyś zobaczył ducha.

– Ducha? – Wykrzywiłem usta w kiepskiej imitacji uśmiechu. – To raczej domena tej twojej wróżbiarki, prawda? Nie moja. Ja nie widzę duchów.

– Powinieneś się cieszyć. Ponoć to nic przyjemnego.

– Na pewno.

* * *

W nocy obudził mnie jakiś ruch. Tak jakby ktoś, lekko musnął mój policzek. Uniostłem powieki i kątem oka dostrzegłem coś, co napełniło mnie strachem. Powoli obróciłem głowę w prawo, na stronę, po której spała Evelyn. Leżała na wznak oddychając ciężko i chrapliwie. Dokładnie nad nią wisiała ta sama postać, z którą rozmawiałem w kajucie. Kiedy tak tkwiłem niezdolny do najmniejszego nawet ruchu, wpatrzony w czarną, dymną sylwetkę, to coś przekręciło głowę i spojrzało wprost na mnie. Teraz, mimo iż nadal w miejscu twarzy kłębiły się mroczne cienie, można już było dostrzec ledwo zaznaczone, pływające rysy. Odniosłem niepokojące wrażenie, że jest podobny do mnie. Przesunąłem wzrokiem wzdłuż czarnych, wysuniętych do przodu ramion, których czarne dłonie, ułożone jedna na drugiej, uciskały mostek Evelyn. Zupełnie tak, jakby w tej irracjonalnej sytuacji, duch miał zamiar zrobić jej sztuczne oddychanie. Duch, patrząc na mnie, uśmiechnął się zwycięsko i z wyraźną złośliwością.

Przypomniały mi się jego słowa: "Przy okazji obiecuję, że zaduszę tę twoją sukę."

Evelyn otworzyła oczy i spojrzała na mnie rozspanym wzrokiem.

Zerwałem się i rzuciłem na zjawę. Jednak tylko przeleciałem na drugą stronę i rąbnąłem ciężko o podłogę. Podniosłem się natychmiast, gotów do następnego ataku, ale mój brat już się ulotnił.

– Mike, co się stało!?

– Spadłem z łóżka – wypaliłem na poczekaniu.

– Z tej strony?

– Dziwne, nie? Śniło mi się, że skaczę.

– Właż z powrotem, głuptasie, i niech ci się przyśni hamak.

Zrobiłem, jak radziła, ale nie byłem już w stanie zasnąć. Zrozumiałem, że zagrożenie jest w pełni realne. Zacząłem się naprawdę bać. I to nie tyle o siebie, co o Evelyn. Naszła mnie straszna myśl, jak wyglądałoby moje życie, gdybym ją stracił. Zacisnąłem zęby i pomyślałem, że nie mogę do tego dopuścić. Nie wiedziałem jednak, co powinienem zrobić. Jak pokonać niespodziewanego rywala. Po raz pierwszy w życiu zacząłem żałować, że nie posłuchałem słów wróżki i że nie ma przy mnie kogoś, kto mógłby mi pomóc.

Postanowiłem, że rano opowiem Evelyn o wszystkim.

* * *

Siedzieliśmy na pokładzie i właśnie zabieraliśmy się za śniadanie. Przez chwilę walczyłem sam ze sobą. W końcu opowiadanie wszystkiego Evelyn stawiało mnie w pozycji kogoś, kto musi przyznać się do błędu. Trudno. Muszę swoje własne ego odsunąć na bok. Dlatego zgodnie z tym, co postanowiłem, opowiedziałem Evelyn o wszystkich dziwnych wydarzeniach. No, prawie. Pomiąłem ostatnią noc, kiedy mój nienarodzony brat pod postacią ducha zamierzał ją udusić, przygniatając jej klatkę piersiową. Teraz, w blasku poranka, pod niebieskim niebem, to wspomnienie wydawało mi się jedynie kiepskim koszmarem.

Evelyn wysłuchiwała mnie w spokoju, podgryzając kromkę chleba z dżemem truskawkowym. Kiedy skończyłem, popiła wodą.

– Sanderina to przewidziała.

– Jak to przewidziała?

– Normalnie. W końcu to jej profesja.

– No tak – uśmiechnąłem się. – W sumie, nie powinno mnie to dziwić, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń.

Evelyn pokiwała głową.

– Czy powiedziała ci coś poza tym?

Evelyn bez słowa wstała od stołu i zeszła na dół. Po chwili wróciła, trzymając w ręku jakiś niewielki przedmiot. Usiadła i położyła go na stole. Był to kwadratowy kawałek drewna o wymiarach nieprzekraczających dziesięć na dziesięć centymetrów, z wyrzeźbioną zakapturzoną twarzą przypominającą na pierwszy rzut oka druida. Wziąłem go do ręki i przyglądałem mu się z bliska. Miał spokojny, niemal medytacyjny wyraz twarzy. W miejscu oczu widniały wykrojone na wylot otwory, co nadawało mu pewnej dozy niesamowitość, graniczącej wręcz z demonicznością. Jakkolwiek byłem pod wrażeniem talentu i kunsztu wykonania wizerunku, to nie za bardzo wiedziałem, co mam z tym zrobić. Drewno miało ciemny kolor, a jego powierzchnia była gładka niczym relikwia, której dotykają dłonie setki tysięcy wiernych.

– To wizerunek druida. Starożytnego kapłana celtyckiego — wyjaśniła.

– Skarbie. Może i jestem ignorantem, ale naprawdę wiem, kim byli druidzi.

Evelyn wzruszyła tylko ramionami.

– To pewnie też wiesz, że ten ma na imię Raghnull, co oznacza Mądrą Siłę. Pochodził ze Szkocji i posiada moc przekonywania i powstrzymywania złej woli.

— Złej woli? – powtórzyłem.

Skinęła głową.

– Chodzi o wszelkie działania charakteryzujące się negatywną energią. Takie, które w zamiarze mają uczynić komuś szkodę.

– Tego nie wiedziałem — przyznałem. — Jak to działa?

– Sanderina mówiła, że musisz zmusić złego ducha, by spojrzął w oczy Raghnulla.

– Hmm, nie wiem, czy da się go do tego łatwo przekonać.

– Najlepiej podstępem — zaproponowała.

– Nigdy nie oszukiwałem żadnego ducha. Nie wiem czy są sprytne, czy nie. A może właśnie teraz nas podsłuchuje i już śmieje się z naszych kłowań?

– Sanderina mówi, że duchy są jak żywi ludzie.

– Och, doprawdy? — Uniosłem brwi. — Chyba kiedyś z jakimś skoczę do pubu na piwo i pogadamy o jego życiu, i czy mu wygodnie w trumnie.

– Chodzi o to... — Ton jej głosu wskazywał na to, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Że... — zachęciłem ją.

– Że, wbrew naszym wyobrażeniom, trapią ich podobne problemy i rozterki jak nas, żywych ludzi.

– Poważnie? Też nie mogą znaleźć pracy, spłacić rat, męczą ich choroby, mają bolesne miesiączki i problemy ze wzrodem?

Evelyn mnie zignorowała.

– Jest wśród nich sporo nieszczęśliwców, którym nie powiodło się w zaświatach i są, przykładowo, bezdomni.

Uśmiechnąłem się

– Żartujesz, prawda? Wybacz, ale określenie bezdomny duch brzmi tak, jakby tylko chwilowo nie nawiedzał żadnego domu. Jak duch może być w ogóle bezdomny? Powinien siedzieć w niebie, piekle, czyścu czy... gdziekolwiek tam, gdzie siedzą duchy. Nie wiem, jakimi apartamentami dysponują w zaświatach, ale miejsca powinno wystarczyć dla wszystkich.

Pomyślałem sobie: Dupku! Opuść sobie ten idiotyczny sarkazm. Ona próbuje ci pomóc, a przy okazji jej też grozi realne niebezpieczeństwo!

– Mike, jak też nie jestem ekspertką od duchów, tak? Temat mnie interesuje i od czasu do czasu nieco go zgłębiam. To wszystko. Możesz sobie pokpiwać, ale to nie zmienia faktu, że jakaś siła pałęta się po pokładzie tego pięknego jachtu i z pewnością nie są to szczury.

– No nie — przyznałem.

– Właśnie. A skoro nie one, to przecież innych pasażerów na gapę nie stwierdziliśmy. Natomiast charakter tych wszystkich dziwnych wydarzeń, sam musisz to przyznać, wykracza poza zwykłe pojmowanie.

– Wykracza — potwierdziłem i westchnąłem ciężko. — Przepraszam cię Evelyn, ale po raz pierwszy w życiu spotyka mnie coś takiego

– Wiem, kochanie. — Delikatnie dotknęła mojej dłoni.

* * *

Staliśmy na pokładzie oko w oko. Teraz jego twarz wyglądała dokładnie tak jak moja. Byliśmy niczym bracia bliźniacy.

– Dlaczego akurat teraz!? Nie mogłeś dopaść mnie wcześniej!? — powiedziałem z wyrzutem.

– Najpierw musiałem cię odnaleźć, a potem do ciebie dotrzeć. Świat duchów nie ma wiele wspólnego z materialnymi bytami, takimi jak twoje.

– Zawsze mi się wydawało, że będąc duchem wystarczy tylko pomyśleć o jakimś miejscu, aby błyskawicznie się tam znaleźć.

Duch uśmiechnął się.

– Bawi cię to? — Zapytałem.

– Trochę. Te wasze ludzkie wyobrażenia o świecie duchowym. Nawet nie wiesz, jakie to bywa zabawne.

– Skoro tak świetnie się bawisz, to może pozostaniesz w swoim eterycznym stanie? Po cholere masz się pchać do mojego materialnego świata?

– Bo chcę go doświadczyć! — huknął na mnie. — Bo chcę poczuć radość z posiadania ciała.

– Paniemek ci się zachciało?

Spojrzał na mnie z wyższością.

– Sptycasz wszystko i naśmiewasz się z każdego mojego słowa.

– To nie tak — usiłowałem oponować.

– WŁAŚNIE, ŻE TAK! – wrzasnął niespodziewanie, jednocześnie przybliżając się do mnie raptownie.

Jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od mojej.

TERAZ! – pomyślałem, wsuwając niespostrzeżenie dłoń do kieszeni. Poczułem kształt drewna, które było zadziwiająco chłodne w dotyku.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że chcesz mnie zabić – powiedziałem, starając się nadać swojemu głosowi mocny i pewny ton, choć ostatnie trzy słowa wypadły zbyt drżaco.

– No proszę, starszy braciszek zdobył się na odwagę. Mimo swojej miałkości, udało ci się mi zaimponować.

– Chociaż tyle. W niewielkim stopniu – dodał z uśmiechem, jednocześnie odsuwając się lekko.

Oblizał szare wargi ciemnym językiem.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał, a ja odniosłem wrażenie, że cała ta sytuacja sprawia mu nieopisaną radość.

– Skoro i tak zamierzasz ze mną skończyć...

Zbliżył się powoli. Widziałem jego szare tęczówki, przydymioną biel gałki ocznej i jasnopozielate zęby.

– Chcę zabić twoją duszę! – powiedział powoli.

– To będziesz musiał się postarać! – Syknąłem i błyskawicznym ruchem wyszarpnąłem wizerunek Ragnalla z kieszeni. Uniosłem go w górę, jednocześnie nieco się odsuwając. Ustawiłem tabliczkę tak, że przez otwory oczne druida widziałem oczy mojego brata, a on widział moje. W jego szarym spojrzeniu dojrzałem zdumienie. Potem jego twarz zaczęła się rozciągać w kierunku trzymanej przeze mnie tabliczki. Ja też poczułem, jak jakaś nieznana siła zaczyna ciągnąć mnie w stronę wizerunku druida. Wrażenie intensyfikowało się z każdą sekundą. Zanim straciłem przytomność, na wydłużonej twarzy mojego przeciwnika dojrzałem coś przypominającego uśmiech.

* * *

Patrolowa łódź straży przybrzeżnej zawróciła nagle i ruszyła ostro w kierunku jachtu, który jeden z funkcjonariuszy wypatrzył przez lornetkę. Próby kontaktu przez radio, póki co nie przynosiły żadnych rezultatów. Słychać było jedynie szumy i trzaski. Płynęli na pełnych obrotach. Dwa potężne silniki powarkiwaly jednostajnym, nieco chrobotliwym dźwiękiem. Mała kreska jachtu powoli zaczynała rosnać.

– Co to za ludzie, Mike? – Evelyn spoglądała na szybko zbliżającą się łódź.

– Wygląda na łódź patrolową – odparłem.

– Coś nam grozi?

– Jeżeli nie przewozisz kokainy w torebce, to raczej nie. Mamy wszystkie papiery, sprzęt w porządku, więc nie ma obaw. – Wzruszyłem ramionami. – Zresztą, to pewnie zwykła kontrola. Jak na drodze.

Łódź podpłynęła i skręciła ostro, by stanąć burta w burtę z naszą. Kilku umundurowanych mężczyzn weszło bez słowa na pokład.

Evelyn przyglądała im się z irytacją.

– Dzień dobry panom – powiedziałem przyjaznym tonem.

Jeden z nich zerknął na mnie obojętnie, ale nic nie powiedział. Minął mnie i bezceremonialnie wpakował się do środka, pod pokład. Pozostali rozeszli się po całej łodzi, zaglądając w każdy jej zakamarek.

– Mike, oni chyba nie mają prawa... – próbowała oponować Evelyn.

– Niestety, mają.

Podeszła do mnie i objęła mnie w pasie.

– Hej! Mam tu kogoś! – Spod pokładu dał się słyszeć mocny głos jednego z funkcjonariuszy.

Spojrzyliśmy po sobie z Evelyn i bez słowa ruszyliśmy zobaczyć, o co chodzi.

Strażnik klęczał przy jakimś mężczyźnie leżącym na podłodze.

– Proszę pana! Proszę się obudzić. Halo! Proszę pana!

– Taak?

– Wszystko w porządku? Jak pan się czuje?

Postać powoli usiadła trzymając się za głowę. Nie widzieliśmy, kto to był, bo siedział do nas tyłem. Kogoś mi jednak przypominał. Kogoś niepokojąco znajomego.

– Wszystko w porządku? – Funkcjonariusz położył rękę na jego barku przyglądając mu się uważnie.

– Tak, dobrze — powiedział powoli.

– Co się stało?

– Szarpnęło łodzią. Nie wiem, fala, czy nagły podmuch. Akurat schodziłem po schodach. Straciłem równowagę i zleciałem. Musiałem w coś uderzyć i teraz świat trochę mi wiruje. .

– Ma pan paskudną ranę na głowie. Opatrzmy pana.

– Dobrze.

– Proszę mi powiedzieć, czy jest ktoś jeszcze na pokładzie?

– Tak.

– Kto? – Upewniał się strażnik.

– Moja partnerka.

Przechylił się i podniósł nieco chwiejnie na nogi. Strażnik podtrzymywał go asekuracyjnie. Miał pochyloną głowę.

– Niech pan usiądzie.

Podprowadził go do łóżka. Kiedy mężczyzna usiadł, podniósł głowę i uśmiechnął się lekko, patrząc dokładnie w moją stronę. Zamarłem. Poczułem, jak paznokcie Evelyn wbijają się w moje ramię. Przed nami, na łóżku, siedziałem ja sam.

– Jak ma pan na imię? – Zapytał funkcjonariusz.

– Eric. – Chrząknął głośno. – Nie, przepraszam, Mike.

– To jak w końcu Eric czy Mike?

– Z całą pewnością Mike. Mike Hauser.

Patrzyłem na niego jak zahipnotyzowany. Właściwie nie tyle na niego, co na siebie samego. Zrozumiałem, że widzę swoje ciało, ale kieruje nim inny duch. Duch mojego nienarodzonego brata Erica.

– Mike... – Pytanie Evelyn zawisło na jej wargach jak niedokończona fraza piosenki.

Wiedziałem, o co chciała zapytać i cholernie bałem się odpowiedzi. Mimo to usłyszałem swój głos:

– Tak, Evelyn?

– Czy my jesteśmy martwi?

– Na to wygląda.

– To gdzie w takim razie jest moje ciało?

Spojrzałem na nią ze smutkiem.

– Nie wiem. Przykro mi, Evelyn. Naprawdę mi przykro.

W tym momencie usłyszeliśmy jęk i zza łóżka, ku naszemu bezbrzeżnemu zaskoczeniu, podniosła się... Evelyn, a raczej jej ciało.

Poczułem mętlik w głowie.

Tymczasem tamta Evelyn podeszła do tamtego Mike.

– A pani? – zapytał ją strażnik. – Jak się pani nazywa?

– Evelyn Ranel.

* * *

Strażnicy dokładnie sprawdzili wszystkie możliwe dokumenty oraz nieomieszkali dać kilka rad w kwestii bezpieczeństwa. W końcu zeszli z pokładu i odpłynęli. Nowy Mike i nowa Evelyn odetchnęli z ulgą.

– Nie mogę wyjść z podziwu, że to wszystko się nam udało – powiedział Mike.

– Było pewne ryzyko, ale... – Evelyn wzruszyła ramionami.

– A co się stało z tą całą Sanderiną, o której wspominałaś?

– Nie robiłam jej krzywdy, jeżeli o to ci chodzi. Zresztą po wysiłku, jaki kosztowało mnie jej nawiedzenie, i tak już nie miałam na to ochoty. Wiesz, wróżki są dość podatne na nawiedzenia właśnie przez to, czym się zajmują. Są dość blisko naszego świata, więc łatwo do nich przeniknąć.

– Jak myślisz, czy oni tu są? – zapytał nowy Mike, nieco zmieniając temat.

– Pewnie tak – odparła. – W końcu mogą jeszcze nie wiedzieć, co się tak naprawdę stało.

– Myślisz, że mogą nam zagrozić?

Evelyn milczała przez chwilę.

– Kiedyś. Jak nabiorą sił i umiejętności. Ale wiesz co?

Mike spojrzał na nią uważnie.

– Nie ma sensu się tym przejmować. Mamy przecież siebie, jacht i fizyczną formę.

Nastąpiła chwila ciszy przetykana łagodnymi powiewami wiatru.

– Dziękuję. – Nowy Mike spojrzał na nową Evelyn. – Bez ciebie nie byłoby to możliwe.

Uśmiechnęła się.

– Dawno już tego nie robiłam. Dobrze jest od czasu do czasu побыć w ciele. – Czego chcesz więcej?

– Spokoju i ani żywego ducha – odparł mój brat

Roześmiali się oboje zwykłym serdecznym śmiechem.

MACIEJ SZYMCZAK

CIOCIA

– Paweł, Paweł, PAWEŁ!!!

– ZARAZ! – wrzasnął wytrącony z równowagi mężczyzna.

Od południa usiłował się skoncentrować na robocie, a ta stara kłępa skutecznie mu to uniemożliwiała. Jutro miał minąć termin, a on wciąż nie skończył grafik do swojej gry. Dla ciotki to oczywiście żadna praca, żadne uczciwie zajęcie. Gardziła nim i naśmiewała się z jego dzieł. Nie rozumiała, że to dla niego wielka szansa, że dzięki temu będzie mógł zmienić swoje marne życie.

Życie na łasce tej jędzy.

Przeciągnął się na krześle, niechętnie wstając od komputera. Powolnym krokiem wspinał się po schodach do góry, do pokoju wypełnionego słodkawym zapachem starości, choroby i niedołężności. Wszedł zrezygowany, a jego oczom ukazała się schorowana kobieta w białym czepcu na głowie. Leżała przykryta puchatą kołdrą, wbijając w niego pełen pretensji wzrok. Jej oczy były ledwo widoczne zza grubych szkielek okularów.

– I co tam – zaczęła jadownicie – znowu tam piszesz o tych swoich krasnoludkach, rysujesz te swoje chochoły?

– Trolle, elfy, gnomy, nie chochoły – sprostował grzecznie.

– Eee tam – machnęła znacząco ręką. – Zagrzej mi termofor.

– Ale pół godziny temu zalałem go wrzątkiem... Poza tym leży ciocia pod grubą kołdrą, a w tym pokoju jest taki zaduch, że ugotuje ciocia żywcem tego swojego raka. – Zaraz pożałował ostatnich słów.

– Jak możesz, ty... ty gnoju...

No i usłyszał nowy epitet pod swoim adresem. Był już chamem, prostakiem, imbecylem, ale gnojem? To nowość.

– Jestem umierająca... Że też moja chrześniaczka wybrała sobie takiego faceta jak ty za męża...

– Zdjęła okulary, wycierając kołdrą łzy. – Ale poczekaj, jak TYLKO PAULINA ZADZWONI, TO ZARAZ JEJ POWIEM! – Od płaczu gładko przeszła do frontalnego ataku.

Paweł, dusząc w sobie gniew, pokornie zabrał termofor i zszedł na dół do kuchni. Czekając, aż się zagotuje woda, myślał, jak bardzo tego babska nienawidzi. Przeklinał dzień, w którym wraz z ukochaną, wprowadził się do tego wariatkowa. Nie miał jednak wyboru, przed nim rozciągała się jałowa rzeczywistość, pozbawiona jakichkolwiek perspektyw.

Tu nie musieli płacić rachunków, a ciocia była sama, więc zapisała dom i cały majątek ukochanej bratanicy. Nie miał wyjścia, musiał znosić te codzienne upokorzenia, przynajmniej do czasu, kiedy się usamodzielni, kiedy jego projekt wypali. Z nadzieją patrzył w przyszłość, lecz entuzjazm powoli gasł. Ciocia była śmiertelnie chora, rak postępował, zostały jej dni, tygodnie, najwyżej miesiące życia. Tak przynajmniej twierdził jej lekarz okrągły rok temu. Czas mijał, a stara jakby regenerowała się, zalewając Pawła złością.

Paulina wyjechała na dwa miesiące do Szwecji zajmować się skandynawskimi emerytami, a ponieważ Paweł wciąż nie zarabiał, to jemu przypadła opieka nad ciocią. Bijąc się z myślami, zaniósł zniechęconej staruszce parzący w dłonie termofor. Powitała go z uśmiechem na twarzy. To nie zwiastowało nic dobrego.

– Masz. – Podała mu słuchawkę telefonu, cała szczęśliwa.

– Tak? – zapytał, spodziewając się awantury.

– Jak ty się zachowujesz?! Ciocia się skarży na ciebie, ciągle tylko komputer, komputer, KOMPUTER! – Wrzaskom Pauliny wtórował rechot ciotki.

Nie chcąc dać starej satysfakcji z przedstawienia, które mu zafundowała, wyszedł z sypialni. Masował obolałą głowę, czując jak krzyk żony masakruje mu bębenki w uszach.

– Ja tu haruję, nie śpię po nocach, przewijam tego dziadka, a ty masz tylko jedno zadanie, jedną prostą, niezobowiązującą pracę. Zaopiekować się ciocią, CIOCIA! Jeszcze jeden taki telefon i z nami koniec! WYLECISZ PROSTO NA ULICĘ!!!

– Ale...

– Boże, może jeszcze zdążę na prom o dwudziestej trzeciej, rano będę w Gdańsku... Kurwa, nigdy nie wyjdziemy na swoje – mówiła do siebie roztrzęsionym głosem.

– Ja naprawdę nad wszystkim panuje, nie martw się...

Nie dała mu dokończyć zdania, usłyszał głuchy trzask w słuchawce.

Nic gorszego nie mogło mu się chyba już przydarzyć. Czuł, jak powoli wpada w depresję, jak stopniowo ulatuje z niego chęć życia. Załamany, usiadł na krześle, tępo gapiąc się w ekran laptopa. Beznadzieja. Nie skończy tego projektu, nie jest w stanie się skupić, jego marzenie właśnie legło w gruzach.

– Paweł, Paweł, PAWEŁ!!!

– AAAAAAAAAA! – Wstał z krzesła, wydzierając się z całych sił. Rzucił laptopem o ścianę, rozbijając go na drobne kawałki. W amoku wbiegł na górę i kopniakiem otworzył na oścież drzwi.

– CZEGO CHCESZ TY STARA KURWO!

– No ładnie, ładnie... – Kiwała znacząco głową. – Teraz mam już pewność, że nie jesteś godzien mojej Paulinki. Rozwiedź się z tobą, BÓG mi świadkiem. – Wnerwiało go zawsze, jak akcentowała słowo "Bóg". – Znajdę dla Paulinki odpowiednią partię. Starczy mi życia, a jeśli mnie nie posłucha, wydziedziczę ją, zostanie z niczym, wyleci na bruk wraz ze swoim artystą ze spalonego teatru. – Splunęła pogardliwie w jego stronę.

– To już koniec, radź sobie sama. Paulina docenia moje starania, nie zniszczysz naszego związku.

– Tak myślisz? – Zsunęła okulary na nos, coś iście diabelskiego błysnęło jej w oku. – Spójrz na siebie. Kucyk jak u jakiegoś konia, długa włochata broda jak u dzikusa. Dwie lewe ręce, nawet dziecka nie umiesz zrobić. Gdybyś nie strzelał ślepakami, to Paulinka nie wyjechałaby do pracy za granicę. Bezpłodny eunuch, chłop bez jaj...

Eleonora Twardowska, zatwardziała panna, nie mogła dalej się pastwić nad Pawłem Florkiem, mężem Pauliny Sochy, która pod wpływem Eleonory pozostała przy panieńskim nazwisku. Ciotka nie wypowiedziała ani słowa więcej. Przyczyną był Paweł, który straciwszy kontrolę nad sobą, doskoczył do jej łóżka i wydarł jej spod pachy gorący termofor. Zakrył nim jej wiecznie zręczące usta, które z trudem usiłowały łąpać dech. Szarpała się chwilę, a Paweł naciskał coraz mocniej i mocniej.

W końcu jej dłonie zeszywniały i opadły bezwładnie na łóżko. Mężczyzna dusił ją jeszcze jakiś czas, niezdolny do przerwania tej czynności. Po chwili jednak otrzeźwiał i ze zgrozą uświadomił sobie, jakiego czynu dokonał. Uniósł termofor w górę, odsłaniając zastygłą w straszliwym grymasie twarz staruszki. Miała wykrzywione usta i oczy wpatrzone w sufit.

– Co ja, do kurwy nędzy, zrobiłem... – Oparł się o ścianę, czując że zaraz zemdleje. – Boże, nie...

Chaotyczne obrazy migotały w jego głowie niczym upiorny teledysk. Widział siebie podczas przesłuchania, siebie w więzieniu obrywającego co noc od współwięźniów, siebie naprzeciw zawiedzonej Pauliny, która wymierza mu policzek sprawiedliwości, po czym zrywa się z płaczem i

znika z jego życia na dobre. W końcu zobaczył siebie starego, niedołężnego, który po wyjściu z więzienia nie ma gdzie pójść i ostatecznie ląduje na ulicy, konając w deszczowy dzień na zimnym bruku, umierając na zapalenie płuc. Widział... tak widział to wszystko. Dał się sprowokować i zniszczył sobie życie. Zniszczył życie Paulinie.

– Ale zaraz... – W jego głowie zaświtała nieśmiała, diabelska myśl. – A gdyby tak...

Czując lekkie podniecenie, zbliżył się do łóżka. Ciocia miała co prawda czerwoną twarz, minę lekko skrzywioną, czubek języka przygryziony, oczy wpatrzone w górę... ale żadnych śladów poza tym. Nie miała siniaków ani ran, wszystkie włosy tkwiły pod czepcem.

A może się jednak uda, Paweł zadzwoni rano i powie, że słyszał krzyki z góry, nie wiedział jak pomóc, jak się zachować. Zanim pogotowie przyjechało, ciocia zmarła... W męczarniach. W końcu miała raka, często uskarżała się na ból, a morfiny nie chciała.... Tak, to się może udać.

Paweł z mieszanymi uczuciami udał się do salonu i rozpalił w kominku. Starał się nie myśleć o tym, co się stało, najważniejsze teraz to żeby zasnął, wypoczął. Jutro ważny dzień, może najważniejszy w jego życiu. A gdy wszystko się powiedzie, będzie bogaty, cały ten dom i pieniądze cioci będą należały do nich. Wreszcie będzie kimś.

– Dobranoc, ciociu – powiedział z wyrzutami sumienia, kładąc się do łóżka. – To nie tak miało wyglądać, ale rachunki wyrównaliśmy.

Paweł, starając się myśleć o czymś przyjemnym, powoli wyciszał się, zapadając w głęboki sen...

– Paweł... Paweł, PAWEŁ!!!

Zerwał się na nogi, obudzony krzykiem. W domu panowała złowroga cisza. Słychać było tylko trzask palących się belek drewna w kominku i jego własny oddech. Nic poza tym. Nasłuchiwał przez chwilę w skupieniu, wytężając aparat słuchowy. Martwa cisza. Położył się z powrotem, oddychając nerwowo. Próbował się zmusić do spania, ale był na dobre przebudzony. Gdzieś pod skórą przeczuwał, iż naprawdę usłyszał jej głos.

– Paweł, ugh, ugh, ugh... – Z piętra dobiegał głośny kaszel. – PAWEŁ!!!

Spadł z kanapy, przerażony jak nigdy. Wstając, potknął się o stół i upadł boleśnie na podłogę.

– He, he, he – usłyszał znajomą drwinę.

Podczołgał się do kominka, szukając w koszu pogrzebacza. Ciepło płomieni paliło go w twarz, ale on by go nie poczuł nawet, gdyby wsadził głowę do paleniska. Adrenalina dosłownie rozsadzała go od środka.

Chwycił metalowy pogrzebacz zakończony ostrym szpikulcem i wbiegł niezgrabnie na piętro. Tracąc odwagę, przystanął przed drzwiami. Modlił się, aby koszmar nie okazał się prawdą. Przetykając gorką śliną, wkroczył powoli, ostrożnie, niczym antyterrorysta spodziewający się kulki w łeb. Zapalił światło.

Ciocia leżała na łóżku, ale coś było nie tak... Oczy i usta miała zamknięte, ręce złożone jak do pacierza, termofor pod głowę. Może to on tak ją zostawił, tylko tego nie pamięta? Ale to przecież niemożliwe. Ze zgrozą pojął swą naiwność i niedoświadczenie. Oto pod masywnym karkiem cioci tkwił termofor, narzędzie zbrodni. Musi się go pozbyć. Nikt nie wpadnie na pomysł, aby go szukać.

Podszedł do starej i poklepał ją po twarzy. Nie zareagowała. Zbliżył ucho do jej twarzy, ale nie usłyszał oddechu. Chwycił termofor, próbując go wyszarpnąć. Niestety, ani drgnął.

– Kurwa – przeklął, nie rozumiejąc, co się właściwie tutaj wyprawia.

Próbował wyszarpnąć go ponownie, ale wtem masywna dłoń kobiety uniosła się, chwytając go za łokieć. Poczuł silny ucisk, zastygł w bezruchu.

– Mam cię, ty gnoju, he, he, he – odezwała się niespodziewanie martwa jeszcze przed chwilą ciocia.

W akcie panicznego strachu, Paweł miotał się na wszystkie strony, próbując uwolnić się z lwiego uścisku Eleonory Twardowskiej. Wpadł w histerię. Błagał o litość, ale kobieta tylko śmiała się coraz głośniejszymi, szydząc z jego próśb.

– Ty żałosny eunuchu, poczekaj no, Paulinka o wszystkim się dowie.

– Puszczaj, ty...

Udało mu się wyrwać. Chwycił pogrzebacz i zaczął uderzać nim na oślep. Nie wiedział, ile ciosów zadał.

Nagle wszystko wróciło do normy. Ciocia ucichła, on zdał sobie sprawę, iż stoi nad martwą kobietą i bezczęści zwłoki, dziurawiąc je pogrzebaczem.

– Czy ja już zwariowałem? – zapytał siebie w duchu, widząc zmasakrowaną twarz kobiety. Poharatął jej szyję i policzki, pokłutł piersi, rozciął brzuch, a co najgorsze, wybił oczy. I jak on to teraz wytłumaczy pogotowiu, policji?

Musi się pozbyć zwłok. Spojrzał na zegarek – dochodziła 3 w nocy, ma jeszcze czas, do świtu zostały dwie, może trzy godziny. Nie ma chwili do stracenia. Wybiegł z domu, udając się do schowka z narzędziami. Chwycił piłę spalinową, którą miał w najbliższym czasie powycinać gałęzie w ogrodzie. Znalazł worki na gruz, które z pewnością wytrzymają ciężar rozczłonkowanej cioci. Ubrał kombinezon roboczy, był gotów.

Jak w półśnie, gdzie świadomość miesza się z nieświadomością, zleciała mu reszta nocy. Niczym dogorywający imprezowicz, któremu urwał się film, nie pamiętał litrów krwi, trzasku kości, smrodu przecinanego mięsa. Wyparł z pamięci heroiczny wysiłek, walkę z potężnym ciałem ciotki. W końcu, gdy brzask wschodzącego słońca oślepił jego zakrwawioną, spoconą twarz, zdał sobie sprawę, iż właśnie skończył.

Do wywiezienia miał trzy duże worki pełne zakrwawionych członków. Z trudem udźwignął pierwszy z nich. Aż ugiął się pod jego ciężarem. Przykurczony, dysząc ze zmęczenia, krok po kroku dotarł do drzwi wejściowych. Na werandzie powitał go orzeźwiający wiatr, usłyszał poranny śpiew ptaków. Do jego nozdrzy dobiegł rześki zapach rosy, twarz przyjemnie grzało wschodzące coraz wyżej słońce. Poczul się prawie błogo, prawie...

W furtce stała Paulina z ciężką walizką w dłoni. Patrzyła na niego pytającym wzrokiem. Paweł upuścił worek, który dziwnym trafem potoczył się kamiennym brukiem w stronę zaskoczonej małżonki. Kompletnie zaskoczony przyjazdem żony, Paweł nie zauważył, jak z worka wypadają szczątki cioci. W tym głowa pozbawiona oczu.

Zatkał uszy, słysząc rozziewający niebiosów wrzask Pauliny. Usiadł na twardym bruku, chowając twarz między kolana. Bujając się rytmicznie, pomyślał zrezygnowany: to już koniec.

MACIEJ SZYMCZAK

RUDY

Na zewnątrz panował tropikalny upał. Żar lał się z nieba, uprzykrzając życie wszelkiej boskiej istocie. Wewnątrz budynku było trochę chłodniej, a mimo to kombinezon roboczy kleił się do masywnego cielska Piotra Konarskiego.

Rudy, Gruby, Knur – ten wysoki, mierzący niespełna metr dziewięćdziesiąt mężczyzna ze sporą nadwagą miał wiele ksywek, lecz żadna nie wyrażała sympatii wobec jego osoby. Gdyby nie infantylna, dziecięca twarz, grube jak denka od stoików szkła okularów i groteskowo rude włosy ścięte na zapałkę, Piotr zapewne budziłby respekt wynikający z wyjątkowo wielkich gabarytów, jakimi obdarzyła go Matka Natura. Niestety, nikt go nie szanował; był kimś w rodzaju chłopca do bicia, obiektem kpin i szyderstw.

– Ej, Rudy, i jak tam, przeleciałeś dziś jakąś?

– O tak! Rób tak dalej, tak dobrze mi, rób tak dalej, ciągnij, ssij!

Piotr minął dwóch naigrywających się z niego malarzy. Spojrzał mściwie na szczerbatego chudzielca imitującego stosunek oralny i śmiejącego się do rozpuku tysego osiłka. Zignorował ich. Tym razem. Ale wszystko ma swój czas i swoje miejsce, więc i oni zapłacą za swoje czyny. Dysząc ciężko, udał się w górę klatki schodowej, rozmyślając o swym losie.

Najpierw podstawówka, potem technikum energetyczne – wszędzie był piętnowany, wszędzie pogardzany. Gdyby nie jego niecodzienne umiejętności i zamiłowanie do fachu elektryka, prawdopodobnie straciłby resztki godności... A tak był potrzebny, wręcz niezbędny. Nikt nie znał się na tym fachu tak dobrze jak on. Wiedzieli o tym klienci, wiedział szef.

W pracy nie było tak źle, dopóki nie pojawił się Tomasz – nowy kierownik. Piotr nienawidził go, bo dupek nie akceptował jego upodobań, jego miłości do ukochanych...

Przystanął na chwilę, opierając się o ścianę. Pot spływał mu po czole, kolana bolały jak diabli, jeszcze chwila i już... jest. Wreszcie dotarł na ostatnie piętro budynku. Z posępną miną wszedł do pierwszego z brzegu pomieszczenia. Porywisty wiatr, wdzierający się do wewnątrz przez puste otwory okienne, przyjemnie chłostał ciało, dając trochę wytchnienia od tej piekielnej gorączki. Do rozproszania miał instalację elektryczną, z gniazdka do gniazdka, z włącznika do lampy. Leniwym ruchem zaczął rozwijać kabel, gdy nagle dostrzegł ją.

Stała w rogu pośród innych piękności, taka świeża, taka czysta, niewinna. Podszedł podniecony, gładząc palcami chłodną powierzchnię. Czując narastające podniecenie, schylił głowę, muskając ją ustami. Odpiął kombinezon roboczy, zsuwając go do kostek. Przywarł do niej mocno, czując jak erekcja potężnieje. Rytmicznym ruchem, kołysząc się, dotykał jej swym przyrodzeniem, jednocześnie namiętnie śliniąc językiem.

Szyby!!! Szyby były jego obsesją! Nie potrafił się im oprzeć, w domu miał ich z tuzin, co dzień spał z inną, a teraz nadarzyła mu się taka okazja! Szklarze ich jeszcze nie wstawili, zostały tu, świeżutkie i czyściutkie, tylko dla niego!

* * *

– I jak, panie Tomaszu, czy zdążycie rozproszyc instalacje na piątym piętrze do końca tygodnia? Przypominam, iż inwestor podarował panu parę cennych dni....

– Pamiętam. – Przełknął ślinę, zachowując pokerową twarz. – Tak, jak się umawialiśmy, panie Mariuszu. Do piątku skończymy ten etap prac, na mur beton! – Przynajmniej taką miał nadzieję. – Pracownik działa już na ostatniej kondygnacji, wcześniej nie rozkładaliśmy kabla, bo szklarze nie wstawili jeszcze szyb.

– Panie Tomaszu, a co to za argument? Przecież żaden złomiarz nie wfrunie na piąte piętro i nie wyrwie kabli. Przypominam, iż na pozostałych piętrach okna są już wstawione.

Ty pierdolony przydupasie, kto cię pytał o zdanie! – W myślach bezlitośnie dusił tego młodego, modnie ubranego asystenta inspektora. Mimowolnie uśmiechnął się, nie zdradzając swego rozdrażnienia.

– Panie Marcinie, jak zawsze ma pan rację. – *Pieprzony absolwencik polibudy*, klął w duchu.

– I niech pan nie myśli, że po wykonaniu zadania pański szef zaraz dostanie pieniądze. Pan Marcin przejdzie jeszcze cały budynek, sprawdzając, czy wszystko zostało wykonane zgodnie ze sztuką. Prawda, panie Marcinie? – Inspektor spojrzał porozumiewawczo na młodszego kolegę. Ten nie odpowiedział nic, tylko zaśmiał się pod nosem. Tomasz czuł jak czarne chmury zbierają mu się nad głową. Ludzie czekają na zaległe wypłaty. Jak zawali, to pewnie straci posadę kierownika. Musi prędko coś wymyśleć.

– No jesteśmy, niech pan prowadzi i pokaże, jak tam wasze pszczołki się uwijają!

– Proszę bardzo... Wejdźmy do pierwszego pomieszczenia w korytarzu....

– Ah, ah, ah!!!!

– A co to, kurwa, za wzdychania?! – pomyślał przerażony Tomasz

– Sprawdź, co się tam dzieje – wyprzedził Tomka Marcin, wpychając się jako pierwszy przez otwór drzwiowy.

– Panie Mariuszu?! Musi pan to zobaczyć!

– Ooo! – westchnął osłupiały inspektor

– Co tu się... – zamilkł, widząc jak Rudy szczytuje – półnagi, oparty o szybę w wyzywającej pozie. Przez chwilę zdawał się ich nie zauważać, zatracając się w ekstazie. Nagle oprzytomniał i ujrzał zdesperowaną minę Tomka i rozbawioną twarz Marcina. Po chwili zawstydzony ubrał kombinezon. Usłyszał śmiech inspektora, którego sytuacja ta najwyraźniej rozbawiła. Wybiegł prędko, mijając skołowanego kierownika. Musi jak najszybciej stąd uciec. Został przyłapany na gorącym uczynku.

Rozbawiony inspektor podszedł do milczącego Tomka i przyjacielsko poklepał go po plecach.

– Nie martw się przyjacielu! Czegoś takiego w życiu nie widziałem, a inspektorem jestem już ze 20 lat. Spokojnie kolego! To pozostanie między nami. – Ponownie poklepał Tomka, dając mu do zrozumienia, iż rzeczywiście nie musi się niczego obawiać.

– Dziękuję, panie inspektorze, dziękuję, to dobry elektryk, ale świr, zawsze sprawiał kłopoty, ale... nie wiem jak się panu odwdzięczę.

– Coś wymyślę. – Mężczyzna dał do zrozumienia, iż Tomek został jego dłużnikiem

– Czy mogę? – zapytał inspektora, chwytając w rękę młotek. – Ta szybka już na nic się nie zda, odliczcie ją z mojej pensji.

– Ależ proszę bardzo.

Tomek zamachnął się, rozbijając szybę w drobne kawałki. Tłukąc szkło, miał przed oczyma infantylną twarz Piotra.

* * *

Biegając po schodach w dół, omal nie staranował płytkarza niosącego karton z glazurą.

– Uważaj, kurwa! – Włodek, mistrz glazury i terakoty, zachwiał się. – Ja pierdolęę!!! - wrzasnął panicznie, upuszczając karton z płytkami.

Oddalający się Piotr słyszał epitety kierowane w swoją stronę. Dysząc ciężko, skrył się w komórce z narzędziami. Czuł się osaczony, niczym lis uciekający przed psami w dzień Świętego Huberta.

Przejęty strachem, rozmyślał o swoim błędzie, koszmarnym błędzie. Z pewnością pożegna się z pracą, tego Tomek mu nie podaruje. Oby tylko mama się nie dowiedziała, Boże, żeby tylko... Złączył dłonie w modlitewnym geście, bijąc się co chwilę pokutnie w pierś. Znieruchomiał, słysząc głos inspektora. Z klatki schodowej dobiegały kroki.

– Panie Tomku! Postąpił pan właściwie – usłyszał niewyraźnie.

Zbliżył się do drzwi wyteżając słuch.

– Pieprzony dziwoląg, wybaczy pan te słownictwo, gdybym mógł zrobiłbym to jeszcze raz, zbiłbym wszystkie szyby w tym budynku, byle tylko otrzeźwiał ten zboczeniec!

– Jak to zbić szyby... – zmartwił się Rudy zapominając o wstydzie i upokorzeniu. – On chyba nie...

Poczekał, aż zamieszanie ustało, a gdy zrobiło się cicho wyszedł z komórki i wrócił do pokoju po narzędzia. Na podłodze leżały odłamki szkła: szyba, którą jeszcze przed chwilą czule pieścił, zmieniała kształt, dzieląc się na dziesiątki małych kawałków. Mimowolnie zaczął płakać jak bóbr. Uklęknął, chwytając ostry kawałek szkła. Zacisnął na nim dłoń, czując jak wrzyna się mu w skórę. Krew zaczęła spływać obficie po dłoni, brudząc odłamki na podłodze.

– Jak mogłeś, co ona ci zrobiła, to zbrodnia!

Zmarszczył brwi, poprzysięgając zemstę. Do szyb czuł prawdziwe emocje, kochał je bardziej od rodziny. W jakiś metafizyczny sposób stały się one jego bliskimi, krewnymi, istotami, z którymi obcował najchętniej. Ludzie nie znaczyli dla niego nic, zupełnie nic! Tym bardziej Tomasz!

* * *

– Tak szefie. Tak, jutro z rana wręczone mu wypowiedzenie. Tak. Załatwię to subtelnie, bez awantur, bez scen... OK, widzimy się jutro rano w gabinecie. Uff... – westchnął głośno, rozłączając telefon.

Gładko poszło! Kamień spadł mu z serca. Przez tego rudego idiotę mógł stracić pracę albo zostać zdegradowanym do roli zwykłego robota. Zbyt długo tolerował wybryki Rudego, te jego opowieści, przechwałki... To jednak nie był pic na wodę. Następnym razem musi uważniej dobierać pracowników. Zero tolerancji dla odchyleń od norm!

Oparł się plecami o maskę samochodu, wyjmując z kieszeni e-papierosa. Zaciągnął się mocno, spoglądając na zegarek. 17:00. Już późno, ochroniarz właśnie zamknął budowę, a słońce nadal prażyło, chyba ze 32 stopnie w cieniu!

– Ciekawe, gdzie jest Rudy – pomyślał, i zaraz pożałował swojej docieklivosti.

Poczuł się jak dziecko, przerażone, że niechcący wywołało wilka z lasu. Upuścił e-papierosa, z zgrozą spoglądając na jakże odmienne oblicze Rudego. Ten dziwaczny, trochę dziecinny olbrzym patrzył się na niego niczym niedźwiedź grizzly, zamierzający rozszarpać zabłąkanego turystę. Pieg na twarzy wyglądały jak barwy wojenne, zmarszczone brwi i skwaszona twarz sugerowały złe zamiary. W prawej dłoni trzymał zaostrzony kawałek szyby, a w lewej młotek. Zbliżył się, sprawiając, że Tomek zbladł.

– Hej! No nie żartuj, każdemu się może zdarzyć... jutro przyjdiesz do roboty jak gdyby nic, zapomnijmy o wszystkim! – Próbował się uśmiechnąć, grając na zwłokę. Ale Rudy kontynuował swój marsz, wkraczając w osobistą strefę znienawidzonego kierownika. Zatrzymał się pół metra od niego, unosząc zakrwawioną dłoń do góry.

– Twoje obelgi jakoś wytrzymałem! Nigdy nie prosiłem nikogo z was o wyrozumiałość, sumiennie wykonywałem swoje obowiązki, ale tego już za dużo! – Pomachał mu przed nosa kawałkiem szyby. – Tego ci nie wybaczę! Jak mogłeś ją zbić! Jesteś potworem!

– Piotrek, poczekaj... – odezwał się sparaliżowany ze strachu Tomasz. – Proszę, nie... – rzekł szeptem, kładąc się na masce auta.

Trójkątny odłamek szkła wbił się w jego szyję, przecinając tętnice. Ale nawet gdyby szkło ominęło naczynie krwionośne i prześlizgnęło się obok, to i tak nie przeżyłby lawiny kolejnych spadających na niego ciosów. Pierwsze uderzenie młotkiem dosłownie wbiło mu nos do wnętrza czaszki, drugie wepchnęło zęby wewnątrz gardła, kolejnych dziesięć pogruchootało czaszkę.

Tomek skończył ze zmasakrowaną głową, leżąc na masce służbowego samochodu. Rudy, zaspokoiwszy gniew i niepohamowaną żądzę zemsty, zamierzał wrócić teraz do domu... Do swoich szyb. Pewna sprawa zatrzymała go jednak chwilę dłużej. Nieopodal w milczeniu, całemu zająsci przyglądali się dwaj rozrywkowi malarze, którzy nie dawali Rudemu spokoju. Pomyślał, że załatwi dwie sprawy za jednym zamachem.

– Piotrek, no co ty...? – wydukał mężczyzna o anemicznym wyglądzie i ubogim uzębieniu.

– Proszę, nie! – zawył wytatuowany osiłek. Po chwili młotek roztrzaskał osłaniający twarz łokieć.

To był dla Rudego ostatni dzień na budowie. Ostatni w jego życiu. Po dokonaniu osobistej zemsty, zaszył się w swym pokoju, gdzie tnąc się po rękach niefortunnym kawałkiem szyby, wykrwawił się na śmierć.

FLORA WOŹNICA

LUSTRZANE ODBICIE

Niemcy, 15 listopad roku 1914

W ziemię uderzały ciężkie krople deszczu. Siedmiolatek z wyczekiwaniem stukał palcami w blat szkolnej ławki. Odgłos ten mieszał się z dźwiękiem kroków chodzącego po sali nauczyciela. Stare krzesło skrzypiało od nieustannego wiercenia się. Czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu lekcja dobiegła końca. Nauczyciel pożegnał się i przypomniał wszystkim o zbliżającej się klasówce z geometrii.

Chłopiec niedbale odsunął krzesło i szybko wybiegł z klasy. Tym razem był pierwszy, nie pozwolił nikomu się wyprzedzić. Z niezapiętego plecaka wypadło mu pióro, ale nie zwrócił na to uwagi. Prędko przebiegł przez szkolny korytarz i mały dziedziniec. Zatrzymał się na chwilę i zaczął skakać w tworzących się kałużach.

Wiedział, że jego mama tym razem nie będzie zła, że przemoknie do suchej nitki. Miał urodziny, nic złego nie mogło się przydarzyć. Wyobrażał już sobie wielki, czekoladowy tort. Jego ulubiony.

Ciekawe, czy mamuś zrobi to pyszne ciasto, a tata nie zapomni o klockach i drewnianych żołnierzykach? Podrapał się po głowie i ponownie ruszył w drogę do domu. Jego oczy lśniły beztroską i nadzieją na małe co nieco. Trochę zbyt długie, rozczochrane włosy kompletnie zmokły i podskakiwały z każdym ruchem. Przebiegł przez szary, brukowany chodnik. Zanucił fragment ulubionej piosenki, poprawił podwinięty kołnierzyk białej koszuli.

Przeszedł szybko przez pasy, ponieważ nie mógł się już doczekać przyjęcia. Na dodatek chciał pochwalić się kolejną oceną celującą z historii. Przez kilka miesięcy dostawał same niedostateczne, do czasu, gdy jego ojciec wrócił z delegacji. Wtedy z powrotem powrócił do wieczorów wypełnionych zabawnymi opowieściami rodzica. Nawet nie czuł, że przy okazji omawiają szkolny podręcznik.

Przeszedł przez zabrudzone osiedle i znalazł się na swoim podwórku. Ulewa kompletnie zmyła ślady rysunków z poprzedniego dnia. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem wody i porywów wiatru. Robert spojrzął na wysoką, szarą kamienicę. Cieszył się, że mieszka na pierwszym piętrze. Bał się wielkiej, posępnej windy, którą poruszali się niektórzy jego sąsiedzi. Otworzył bramę małym, zielonym kluczem i energicznie zaczął pokonywać po dwa stopnie naraz. Miał mnóstwo energii i wiódł prym podczas każdych zajęć z wychowania fizycznego, a dzisiaj jego żywiołowość przekraczała wszelkie granice. Dotarł pod drzwi mieszkania i głośno zapukał. Po kilku sekundach otworzyła jego mama.

Clara Hoffmann miała gęste, czarne włosy, a jej śliczna, uśmiechnięta twarz w ogóle nie zdradzała prawdziwego wieku. Na eleganckiej, niebieskiej sukience widniały dwie plamki po czekoladzie. To jednak biały, koronkowy fartuszek zdradzał cały ogrom jej pracy. Naszyte na niego kwiatki całkowicie pokrywała mąka, a tasiemka przewiązana w pasie kompletnie zbrązowiła. Kobieta spojrzała na chłopca i porwała go w swoje ramiona.

– Robert! Kochanie moje! Cały jesteś mokry, głuptasie! Mówiłam ci dzisiaj, żebyś wziął za sobą parasol. Od tygodnia trąbią w prognozie pogody o burzach i wichurze! No nic, idź się prędko wysuszyć, żebyś tylko się nie przeziębził! A potem marsz do salonu, tort już na ciebie czeka.

Malec wbiegł do swojego pokoiku, przebrał się i pośpiesznie wytarł włosy ręcznikiem. Rzucił plecakiem w drugi kąt pomieszczenia. Podniósł z ziemi pluszowego misia i jak strzała pobiegł do jadalni.

– Mamuś! Ukrój ciasta! – krzyknął i usiadł przy stole.

Z kuchni tymczasem zaczął roznosić się wspaniały zapach jedzenia. Robert oblizał się i poprawił spadający mu z nogi kapeć. Po trzech minutach niecierpliwego oczekiwania na stole pojawiły się kolejne frykasy. Oranzada, sałatka owocowa i pieczony kurczak.

– Już ci nakładam, nie wierć się tak strasznie, to dostaniesz większą porcję! – zwróciła się do niego mama. Odkroiła mu spory, kwadratowy kawałek ciasta z olbrzymią truskawką.

– Sto lat! Sto lat! Niech żyje, żyje nam! Robuś, życzę Ci wszystkiego najlepszego, żebyś zawsze był taki zdolny i mądry – objęła synka i poczochnęła go po włosach.

– Mamo! Zostaw! Zgnieciesz mnie! I nie mów na mnie Robuś, jestem już duży.

– Dobrze. Mój duży, dzielny, mądry Robert! Tylko następnym razem pamiętaj o parasolu, bo będę zła.

– A gdzie tata? W końcu dziś moje urodziny. Obiecał opowiedzieć mi o tym, jak kiedyś wspiął się na ten wielki dąb rosnący z tyłu domu!

– Tatuś na pewno zaraz przyjdzie, pewnie wypadło mu coś w pracy. Nie martw się, jak tylko wróci usłyszysz historię i pobawisz się z nim klockami.

– Kloooocki?! Te najnowsze?

– Tak, te, o których wspominałeś nam przez ostatnie dwa tygodnie. Są w szafce. Czekaając na tatę, możesz ułożyć z nich wieżę.

Robert podszedł do małej, zakurzonej szafy położonej naprzeciwko i wyjął wielką torbę z kolorowymi klockami.

– Hurr! Zrobię cały poligon dla moich żołnierzy. Szykuje się kolejna bitwa!

Minęły cztery godziny, ulewa zmieniła się w mżawkę, a Robert zdążył zbudować już kilkadziesiąt budynków i stoczyć wiele walk. W domu panowała względna cisza. Powoli zapadał zmierzch. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania i brzdęku sztućców. Mama chłopca wreszcie skończyła sprzątać i zajrzała do jego pokoju.

– Robert! Robi się ciemno, kładź się już spać, bo spóźnisz się jutro do szkoły! Co będzie, jak twój ulubiony nauczyciel zobaczy, że wcale nie interesuje cię jego lekcja? A tak się zarzekałeś, że chcesz być wzorowym uczniem!

– Ale mamciu! Ja dopiero zacząłem, poza tym tata wciąż nie wrócił. A przyrzekł mi przecież, że razem się pobawimy...

– Idź spać, jutro pobawisz się z tatą. W nagrodę zrobię ci na śniadanie naleśniki.

– Z dżemem?

– Tak, z dżemem, urwisie... A teraz marsz do łóżka, bo jeszcze zmienię zdanie.

– No idę, idę.

Robert szybko pozbierał klocki, wrzucił je do dużej torby i schował ją z powrotem do szafy. Ani jednak myślał się położyć. W głowie układał już plan podboju kolejnej klockowej wieży. Wyjął z kieszeni figurkę kapitana i realizował plany oblężenia budowli. Wskazówki zielonego zegara powoli zbliżały się do liczby 10.

Tymczasem zapracowana pani domu usiadła z gazetą w kuchni i zaczęła niecierpliwie wypatrywać powrotu ukochanego męża. Albert Hoffmann był rosnącym mężczyzną, zawsze chodził w garniturze. Pozornie sprawiał wrażenie bardzo chłodnego, zdystansowanego człowieka. Pomimo tego, w rzeczywistości był ciepłym, wesołym ojcem. Nie szczędził żonie uwagi i, gdy tylko uporał się z

obowiązkami zawodowymi, zabierał ją na pikniki i bankiety. Dla każdego miał jakieś dobre słowo i po krótkiej rozmowie okazywał się urodzonym wręcz optymistą. Tylko czasami zdarzało mu się wrócić później do domu albo wyjść po kiepskim dniu w pracy na piwo ze znajomymi. Robił się wtedy nerwowy, przez co nie przypominał samego siebie. Stan ten zazwyczaj szybko mijał, a on sam bardzo żałował swojego zachowania. Ostatnio jednak jakby rzadziej pozwalał sobie na takie sytuacje. Sąsiedzi go uwielbiali i często stawiali jako przykład idealnego męża, który świetnie zarabia, a w dodatku bardzo dba o żonę i dziecko.

Tego dnia nie pojawił się punktualnie w mieszkaniu, mimo urodzin jedyne go syna. Co więcej, spóźnił się już jakieś siedem godzin i wciąż nie dawał znaku życia. Kobieta ziewnęła przeciągle, spoglądając na tarczę zegara z kukułką, prezentu od małżonka. Wyrzała przez okno na podwórko. Nic. Cicho. Żadnego śladu życia. Czasami słyszała tylko szczekanie miejscowych psów.

Minęła kolejna godzina. Nagle do jej uszu dobiegł dźwięk klucza otwierającego zamek. Szybko wyszła z kuchni do przedpokoju i z wypisanym na twarzy szczęściem, stanęła naprzeciw drzwi. Jej oczom ukazał się Albert. Wyglądał świetnie, tylko jego twarz zdawała się wyrażać złość i zmęczenie.

– Kochanie, czy wszystko w porządku? Znowu twój szef? Zaraz... czuję alkohol... gdzie ty się szlajałeś? No, teraz to przekraczasz już wszelkie granice! Ja tu się zamartwiam, myślę, czy nie stało ci się coś złego, uspokajam Roba! Jak mogłeś nie dotrzymać obietnicy w dniu jego urodzin?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Popatrzył na nią smutnym wzrokiem i nieco chwiejnie udał się do kuchni. Zaczął przeglądać szafki i szuflady.

– Ech! Mówić jak do pnia! Siadaj, zaraz dam ci trochę tortu, sam i tak go nie znajdziesz. Ty nigdy nie wiesz, gdzie co jest. Beze mnie chyba byś tu zginął. – Kobieta uśmiechnęła się ironicznie pod nosem i podeszła do spiżarki. Albert tymczasem wyciągnął duży nóż do krojenia ciasta.

– Dziękuję, skarbie... Ciekaw jestem, od jak dawna robisz te swoje minki i oszukujesz zarówno mnie, jak i dziecko! Pewnie pierdoliłaś się z kim popadnie tuż pod moim nosem! Dziwka! Adrian opowiedział mi dzisiaj o twojej „przedsiębiorczości”. Jakie to uczucie, nieustannie puszczać się z moim przełożonym!? Przez tyle lat mnie z nim zdradzałaś. O wszystkim już wiem, wygadał się dzisiaj, wyśmiał mnie. A ty wciąż udajesz niewiniątko! Ten mały popapraniec to jego bachor? – Albert spojrział prosto w przerażone oczy żony i zaczął przekładać nóż z jednej ręki do drugiej. – Co się tak gapisz? Nigdy więcej nie będziesz mydlić mi oczu!

Krzyki dobiegające zza ściany zbudziły chłopca. Robert przeciągnął się, wstał i, chcąc sprawdzić, skąd dobiega hałas, wyjrzał przez okienko w drzwiach kuchennych. Jego usta rozciągnęły się w ponurym grymasie.

– Maaaamo!!! Taaato!!! – wrzasnął z całej siły i piąstkami zaczął uderzać w zamknięte drzwi. Knykcie krwawiły mu z wysiłku, ale nic nie czuł. Wielka drzazga wbiła mu się w palec. Po chwili cała dłoń spuchła tak bardzo, że nie mógł nią ruszyć. Zrezygnował. Po policzkach płynęły mu łzy, a oczy wyrażały już tylko czystą bezsilność. Zamarł i obserwował kłótnię rodziców.

Clara Hoffmann wyjęła z szuflady spory wałek.

– Ty chamie! Jak śmiesz! Ja tu haruję, zawsze czekam na ciebie z obiadem, a ty przychodzisz do mnie w takim stanie! Ciszej bądź, bo obudzisz dziecko. I lepiej do mnie nie podchodź, bo cię ogłuszę!

– Czyje dziecko?! Bo na pewno nie moje! Straszna z ciebie suka! Przez tyle lat mnie okłamywałaś... Wiem o wszystkim, szef zdradził mi każdy szczegół. Z pewnością musiało cię to bawić, przez tyle czasu robić ze mnie takiego osła! – Mężczyzna chwycił żonę za kark i stopniowo zaczął zaciskać dłonie wokół jej bladej szyi.

Kobieta przez chwilę się szarpała, ale był zbyt silny. Zaczęła kaszleć i ze świstem łąpać powietrze. Zamachnęła się wałkiem, niestety chybiła.

– Puść mnie! Bo... łam... licję! – Jej oddech zaczynał świszcząć, a wymawiane przez nią słowa były kompletnie niezrozumiałe. Albert szybkim ruchem przesunął nożem po jej gardle, po czym rzucił ją na drewnianą posadzkę. Uderzyła głową o ziemię. Przez chwilę wydawała z siebie charkoczące dźwięki i machała rękami w powietrzu, jakby wciąż myślała, że ma szansę wstać i uciec. Drewno wchłaniało świeżą krew jak spragniona deszczu ziemia.

Mężczyzna spojrzał z pogardą na rzucone w kąt zwłoki. Splunął i pochylił się nad ciałem. Wyjął z szafki na narzędzia sporą siekierę i, zaczynając od palców u stóp, rozpoczął ćwiartować ofiarę. Nie miał w tym najmniejszej wprawy, szybko dostał zadyszki. Palce, stopy i łydki, które jakoś udało mu się odciąć, wyrzucił do kubła na śmieci. Miała grubsze kości, niż sądził. Do teraz pamiętał wrażenie, jakie wywarła na nim, gdy zobaczyli się po raz pierwszy. Była wtedy taka wątła... przypominała mu trzcinę, którą targa wiatr. Chciał ją ochraniać. Uwielbiał odgłos jej wdzięcznego śmiechu. Wydawała się taka krucha i delikatna. Zawsze bał się, że ktoś wyrządzi jej krzywdę. Ironia losu. Nigdy by nie pomyślał, że tym kimś będzie on sam. Z drugiej strony, nigdy nie podejrzewałby jej o zdolność do takiego podstępu, o lisią chytryść. Nie mógł jej tego przebaczyć. Upokorzyła go.

Wbił jej w oczy wykałaczkę, następnie wyciągnął je i ułożył obok koreczków z serem. Zabawne, jak bardzo przypominały mu wczorajszą przystawkę.

– Czy te oczy mogą kłaaaamać!? – krzyknął. Następnie z całej siły uderzył siekierą w jej klatkę piersiową. Udało mu się połamać mostek i żebra, przebić płuca. Wstał i obejrzał swoje dzieło. Nawet w takim stanie mu się podobała. Uśmiechnął się, a po jego twarzy popłynęła jedna, samotna łza. Odwrócił się do lustra, skłonił się nisko swojemu odbiciu i wbił sobie kuchenny nóż prosto w serce. W ostatniej chwili przed śmiercią poczuł ulgę.

– Na świecie jest tyle bólu, a i tak nic nie równa się z bólem pękniętego serca – pomyślał i odszedł, trzymając w dłoni palec żony. Stary zegar z kukułką wykukał godzinę dwunastą. Deszcz przestał padać.

Mały Robert płakał i kopał nogą w zamknięte drzwi. Wciąż nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że nigdy więcej nie przytuli się do mamy i nie usłyszy głosu ojca. Marzył o tym, by do nich podbiec, by wstali i powiedzieli mu, że to tylko zły sen. W końcu drzwi się otworzyły.

– Maaamo! Nie! – zaczynał się historycznie trząść, nie przestając wołać kobiety. Jego zdrową dłoń pokryła gęsta czerwień. Żarówka migotała ponurym blaskiem. Nagle poczuł intensywny zapach czekolady. Obrócił się w kierunku, z którego dochodziła kusząca woń. Tafla lustra zaczynała się zaginać, przypominała falujące morze. Stopniowo wyłaniała się z niej postać.

Robert przetarł oczy i ukrył się za szafką. W mieszkaniu znajdował się teraz jeszcze jeden chłopczyk. Podobnie jak Robert, miał przydługie włosy i fioletową piżamę. Bawił się w kałuży niezakrzepniętej do końca krwi i nucił cichą melodię.

– Hops, hops, hopsasa! – skakał po czerwonej podłodze i machał rączkami.

Robert zaczął skradać się do chłopca. Nagle zobaczył, że zamiast dłoni, z rękawa wystają mu ostre gałęzie, które intensywnie wydzielają woń czekolady. Zastygł w miejscu z przerażenia. Kreatura odwróciła się do niego i uśmiechnęła bezzębny uśmiechem, wydając z siebie przeciągły, piskliwy dźwięk. Szybko zatkał uszy i zaczął cofać się na czworakach. Nie zdążył przebyć nawet kilku metrów, kiedy ona znalazła się tuż za nim. Jej czarna skóra parzyła go i napawała strachem, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Zdołał obrócić nieco głowę i ujrzał jej wielkie, błękitne oczy. Spojrzał w nie i kompletnie się w nich zatracił. To były oczy jego mamy. Uśmiechnął się radośnie i wtulił w ciemną sylwetkę. Dłonie przestały go boleć. Poczuł ulgę. Bawili się klockami. Ona była nim, a on był nią. Już na zawsze razem.

Zanim o tragedii dowiedzieli się sąsiedzi i zjawiła się policja, minęło kilka godzin.

* * *

Warszawa, 3 sierpnia roku 1944, komenda powiatowa przy ulicy Dworkowej

Robert Hoffmann założył policyjny mundur, wyczyścił swój karabin maszynowy. Od zawsze uwielbiał militaria, dzięki czemu czuł się spełnionym policjantem. Kiedy tylko otrzymał propozycję wyjazdu do Polski, niezwłocznie się na nią zgodził. Możliwość udziału w planie Hitlera, zapisania się w dziejach historii, od zawsze go nęciła. Czuł, że został stworzony do czegoś wielkiego. Nienawidził mieszkańców i Słowian. Uwielbiał patrzeć w oczy przestępców, kiedy korzyli się przed jego potęgą jak zbesztane pieski. Gdyby tylko mógł, wszystkich by powybił. Nigdy nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce.

Od wielu lat obserwował działania Polaków i nie mógł się nadziwić, że taki słaby naród wciąż organizuje zamieszki. Nie chciało mu się wierzyć, że wciąż mają chęć się buntować. Widocznie sami chcieli narażać swoje rodziny na cierpienia. Ich egoizm go porażał, tym bardziej utwierdzając w przekonaniu, że są zbyt słabi nawet do tego, by przyznać się do porażki. Do niczego się nie nadawali. Liczył na to, że interwencja Niemiec nauczy ich zdrowego rozsądku, narzuci im odpowiednią dyscyplinę. Pomylił się. Był przekonany, że w Europie nie ma dla nich miejsca. Szczególnie tu, w Warszawie, z każdym dniem, z każdą godziną tego idiotycznego powstania, czuł narastającą w sobie wściekłość. Tracił cenny czas, nerwy, a łapanie oraz przetrzymywanie powstańców i opryszków powoli zaczynało go męczyć. Miał ochotę zrzucić na nich wszystkich bombę i zobaczyć, jak z miasta zostają tylko same gruzy. Niestety, to nie on latał bombowcem nurkującym. Zazdrościł tej pracy kompanowi. Zamiast tego był odpowiedzialny za brudną robotę. Pomimo to doceniał swoje stanowisko, gdyż kochał wymierzać łachudrom sprawiedliwość. Czuł wtedy, że jest silny, że nic go nie zatrzyma, że jawi się im jako Hades i Ares jednocześnie. Pożądał tej boskiej mocy.

Chciał jednak mieć choć chwilę na odpoczynek, na wypalenie ulubionego cygara. Bez ciągłego towarzystwa jęków konających słabeuszy. Nie miał litości. Za każdym razem, gdy jego współpracownik okazywał im współczucie, doprowadzał go do porządku. Sam źle wspominał pierwsze kilkanaście lat swojego życia, kiedy nieustannie widział w spojrzeniach innych ludzi litość i żal, próbę pocieszenia go po stracie rodziców. Jakby to mogło coś zmienić. Tylko go to irytowało. Zbyt długo postrzegano go jako świadka tragedii, a nie ambitnego człowieka o stalowej woli, jakim zawsze chciał być.

Zbliżała się siódma rano. Tym razem dostali polecenie, by wymordować mieszkańców okolic ulicy Puławskiej. Poprawiło mu to nastrój, gdyż mżawka za oknem zaczęła wywoływać ból głowy i skłaniała do nadmiernego rozmyślenia. Wolał działać, a nie wspominać.

– Przynajmniej krew się szybko zmyje i nie będzie tak strasznie cuchnąć! – zaśmiał się pod nosem. Jediną rzeczą, jaka przeszkadzała mu w martwych ciałach, był właśnie wydawany przez nie odór. Uważał się za estetę i był bardzo wrażliwy na zapachy. Trup mógł być wypatroszony, wrzucony do kubła, pozostawiony na ulicy, ale nie powinien zakłócać mu doznań zapachowych. Dlatego po dokonaniu zbrodni wybierał się na spacer w niezanieczyszczone śmiercią miejsce i pełną piersią wdychał świeże powietrze.

Tym razem prędko przygotował się do wyjścia i wraz ze swoimi kolegami z pracy udał się w wyznaczone rejony. Przypadła mu ulica Belgijska. Nie mógł się już doczekać wejścia do pierwszej kamienicy i wybicia całej rodziny. Uwielbiał robić to z zaskoczenia. Nie lubił określenia „ludność cywilna” – wszyscy bowiem Polacy jawili mu się jako zbrodniarze, partyzanci bądź spiskowcy. Udał się

w wyznaczone miejsce. Kamieniczki zdawały się wręcz cieszyć na jego widok, zadowolone z przybycia pana śmierci. Deszcz wciąż nie przestawał padać.

Wszedł do pierwszego domu. Jego towarzysze szli cicho za nim. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś z mieszkańców nie był uzbrojony, więc dodatkowe wsparcie mogło się przydać. Liczył na szybką akcję. Wyobrażał sobie szok na twarzach ludzi, ich błagania o litość, płacz dzieci. Robert zawsze wzbudzał mnóstwo emocji, nikt nie mógł go zapomnieć. Kochał być w centrum uwagi i uwielbiał poczucie kontroli nad ofiarami. Sycił się odgłosami ich łkania i pisków. Czuł wtedy spełnienie, a rozkosz władzy, jaką mu one dawały, stanowiła sens jego życia.

Już miał wywarzyć drzwi, kiedy do jego uszu dobiegł odgłos drapania. Miał wrażenie, że ktoś koło niego biegnie, przesuając paznokciem po drewnianej poręczy schodów. Zatrzymał się i rozejrzał wokół siebie. Nic. Tylko on i jego przyjaciele. Ruszył dalej. Wziął rozpęd i kopnął w zamek.

Robert miał ponad dwa metry wzrostu i odznaczał się sporą tężyzną fizyczną, więc po chwili drzwi otworzyły się i mogli bez problemu dostać się do środka. Początkowo nikogo nie zauważyli, mieszkańcy musieli się gdzieś schować, pokoje wydawały się opustoszałe. Tylko bujany fotel lekko się poruszał, zdradzając czyjąś obecność. Robert podszedł od tyłu i szybko obrócił mebel w swoją stronę. Siedział na nim kilkuletni chłopczyk. Mężczyzna pogroził mu pięścią, ale ten tylko się uśmiechnął i ugryzł go małymi ząbkami w rękę. Żandarm wrzasnął z bólu. Właśnie w tym momencie dziecko szybko spojrzało w kierunku dużej szafy i uciekło przez niedomknięte drzwi.

– Na co się gapisz!?! Goń go! – rozkazał koledze i zaczął przeszukiwać pomieszczenie. Zniszczył łomem kilka krzesel i stolików, aż dotarł do szafy, którą wcześniej obserwował chłopczyk. Tak jak się spodziewał, w środku zastał małżeństwo z kwilącym niemowlęciem. Wyciągnął ich na zewnątrz, wyrwał z rąk noworodka i rzucił nim o kant stołu, prawdopodobnie rozbijając mu czaszkę. Małeństwo przestało płakać. Jednego Polaka mniej.

Nie rozumiał oporu, jaki mieli niektórzy przed zabijaniem dzieci. Widział w nich przyszłość tego słabego narodu, który chciał doszczętnie zniszczyć. Takie jednostki niepotrzebnie zawadzałyby niemieckim rodzinom, które mogły się tu kiedyś sprowadzić. Do jego uszu dobiegł jęk przytrzymywanej przez resztę policjantów kobiety oraz jej męża. Coś mamrotała, szeleszczenie polskiego języka przyprawiało go o ból głowy. Mężczyzna próbował się wyrwać, ale trójka żandarmów skutecznie go uciszała, zadając mu coraz mocniejsze ciosy w brzuch i głowę.

Robert podniósł z podłogi martwe dziecko i zanurzył syczoryk w jego skórze. Zaczął od stópek, pnąc się coraz wyżej. Szarpał, aż zdołał przedzielić go nierówną, krwawą linią na dwie połowy. Z fascynacją obserwował, jak nożyk przybiera barwę szkarłatu. Następnie poderznął gardło matce malucha i podszedł do ostatniej ofiary. Pięścią złamał ojcu nos, szybkim ruchem przydeptał stopy. Zdecydował, że tym razem narobi trochę szumu i użyje karabinu. Z przyjemnością przestrzelił mężczyznę na wylot, wybijając przy tym znajdujące się za nim okno. Podniósł kawałek szkła i ostrą stroną wbił go w czoło ofiary. W takim stanie zwłoki wydawały mu się przezabawne. Zaśmiał się cicho pod nosem. Doradził kompanom szybkie pozbycie się trupów.

Sam szybko wyszedł z budynku, wciągając w płuca nieco zadymione powietrze i wypatrując uciekinierów, których wystraszył hałas. Przeszedł przez ulicę, co jakiś czas widząc wchodzących do pozostałych kamienic żandarmów. Wyglądało na to, że większość łajz udało im się wytępić. Powoli ogarniał go błogostan znany tylko człowiekowi, który kończy ciężki dzień w pracy. Był z siebie dumny, wszystko poszło po jego myśli. Z daleka dobiegał go odgłos bombardowania, więc i reszta jego znajomych miała tym razem bardzo pracowity dzień. Trzymał za nich kciuki, bo zdarzało się, że któryś ginął w trakcie akcji. Polacy bywali nieobliczalni.

Usiadł na chodniku i wyjął z kieszeni cygaro. Niestety, nie zdążył nawet jeden raz się zaciągnąć, kiedy usłyszał brzdęk tłuczonej butelki tuż za dużym koszem na śmieci. Musiał to sprawdzić. Chwył mocniej szczyryk, bo karabin zostawił w opuszczonym przed chwilą mieszkaniu. Wstał i zrobił kilka kroków. Usłyszał cichy chichot. Teraz był pewien, że ktoś tam jest. Serce biło mu coraz szybciej, oddech przyspieszył, a palce mocniej zacisnęły się na broni. Zajrzał za kontener. Zobaczył małego chłopca, tego samego, który wcześniej go ugryzł. Zdenerwował się. Zdecydował się dać mu nauczkę, jakiej nigdy nie zapomni. Już prawie go dopadł, gdy ten w podskokach przebiegł kilka metrów naprzód. Podążył za nim, nie bacząc na buty, które kompletnie przesiąkły wodą z okolicznych kałuż. W końcu złapał malca za szyję i zaczął ścisnąć coraz mocniej. Już myślał, że udało mu się go udusić, kiedy głowa dziecka obróciła się w jego kierunku, ukazując osmalone policzki i oczy pozbawione źrenic. Odskoczył od niego i zaczął uciekać, ale ten po chwili pojawił się tuż przy nim.

– Robcio! – Krzyknęła postać, śmiejąc się histerycznie.

Robert obserwował, jak cały świat wiruje mu przed oczyma, jakby znajdował się w jakiejś fatamorganie. Bolały go stare blizny na dłoniach, od zapachu czekolady czuł mdłości. Schylił się i zwymiotował, barwiąc ziemię własną krwią. Dojrzał w niej małe kawałki szkła. Przyjrzał się sobie w kałużę, z przerażeniem odkrywając, że jest blady jak ściana. Jego kości zaczynały trzeszczeć, zaczął miotać się w agonii. Kurczył się. Po kilkunastu sekundach był już posturą siedmioletniego dziecka. W tym samym czasie sylwetka kreatury rosła i zmieniała się, coraz bardziej przypominając żandarma. Zaciągnęła się cygarem i przewróciła w dłoni mały szczyryk.

– No chodź tu, dzieciaczku! – krzyknęła do mężczyzny, pochylając się nad nim. Splunęła mu w twarz. Robert poczuł, że nie może się ruszyć, nie mógł otworzyć ust. Zaczynał się dusić. Miał katar i ledwo łapał powietrze. Zobaczył przed sobą pozbawioną oczu twarz matki. Uśmiechała się do niego. Usłyszał głos ojca, nazywający go małym bachorem.

Istota wyglądała teraz jak niemiecki żołnierz. Obsłiniła szczyryk, a następnie wbiła go mu w nogę.

– Jeej! Rysujemy! – wrzasnęła szkarada, z typową dla dziecka radością, z każdą sekundą zdzierając z niego coraz większe pasma skóry.

Robert był pewny, że to koniec. Spodziewał się błyskawicznej śmierci, kresu tej udręki. Mylił się. Stopniowo przypominał sobie wszystkie szczegóły swojej pracy, lecz nie jako wykonawca, tylko ofiara. Po kolei przeżywał każdy zgon, każdą torturę. Odczuwał emocje matki, która właśnie straciła swe niemowlę, ból przypalania ran, miażdżenia palców, zimne ostrze szczyryka na swoim gardle. Jego umysł zdawał się krzyczeć z bólu, a ciało w ekspresowym tempie zaczynało się rozkładać, kawałek po kawałku odchodząc od żył i kości. Rozpadał się na miliony gnijących kawałeczków, aż pozostał z niego jedynie drobny pył.

Demon uśmiechnął się radośnie i wrzucił prochy do dużego kontenera. Przysiadł w cieniu i zaczął wypatrywać kolejnej ofiary. Teraz przypominał małą dziewczynkę. Cygaro i policyjny mundur spadły do kałuży i zniknęły, jakby rozpuściły się w kwasie. Zastąpiła je błękitna sukienka.

Po kilku chwilach do zaułku wbiegła ośmioletnia uciekiniarka. Właśnie straciła swojego ojca, ogarniała ją rozpacz. Nagle przed nią pojawiła się postać, która bardzo ją przypominała. Chciała uciec, rodzice nieraz powtarzali jej przecież, żeby nie rozmawiała z nieznajomymi. Ta jednak uśmiechnęła się do niej i spojrzała jej prosto w oczy. Wtedy wiedziała już, że ona ją poprowadzi. Tylko w lustrze wody ich odbicia zamieniły się miejscami, jakby jedna z nich przejęła miejsce tej drugiej...

KRYSTIAN KOCHANOWSKI, MATEUSZ LEWARTOWSKI

KARNE ODSETKI

„(...) pośle aniołów swoich: (...) Kto ma uszy, niechaj słucha.”

– Co to ma znaczyć? Gdzie jestem? Może to zwiady?

Schludnego pięćdziesięcioletka otacza bajkowa aura. Słońce, rozłożyste palmy. Lekka bryza znad morza i żar tropików. Nagle czuje osłabienie. Obraz zaczyna się zacierać. Wszystko powleka nieprzejrzystą mgłą. Mężczyzna traci przytomność.

Mgła przeredza się, ale krajobraz wokół jest inny, nie przypomina poprzedniego – ziemia zmieszana ze ściekami. Przywodzi na myśl ciemnoszary step, poprzecinany bagienną mazią. Gdzieś tam leżą porzucane fragmenty rozmaitych przedmiotów, kawałki krzesel, mebli, narzędzi. Niebo spowijają granatowe, ciężkie chmury, zawieszono nieruchomo w przestrzeni. Panuje bezwietrzna cisza, lecz pomimo tego nie jest duszno. Pośrodku niegościnnego, marsowego krajobrazu leży znany nam już mężczyzna. Ma szybki i płytki oddech, jego twarz wykrzywają grymasy, słychać postękiwanie. Śpi, a może trwa w stanie odrętwienia?

Wtem gdzieś z daleka daje się słyszeć przeciągły dźwięk. Przypomina ludzki głos. Trwa przez chwilę, na tyle długo, że mężczyzna wybudza się.

– Moja głowa. Uff! Gdzie jestem? Co tym razem?

Rozgląda się badawczo, przeciera oczy. Poprawia marynarkę i kołnierz koszuli. Patrzy na zegarek i zauważa, że brakuje wskazówek.

– To chyba jakiś żart. O co tu chodzi? Co to za miejsce?

Odwraca się i spostrzega bramę. Podchodzi do niej. Jest masywna, szeroka, ze stalowymi odzwiami. Klamki są związane i opieczutowane. Widnieje na niej napis w nieznanym mu alfabecie, jednak po chwili dociera do niego, co znaczą wyryte symbole. Słyszy wewnętrzny głos: „Królestwo tego świata”. Napis, początkowo słabo widoczny, po przeczytaniu zaczyna mienić się złotą barwą.

Mężczyzna próbuje otworzyć. Bezskutecznie. W szparach widzi jasne światło. Irytuje się.

– No bez jaj! Jak się dowiem, kto to, ten wyleci – nie-od-wo-łał-nie! – krzyczy, uderzając pięścią w bramę.

Odczuwa ruch powietrza, widoczność zdaje się poprawiać. Mężczyzna dostrzega otaczający go bezmiar pustkowi. Dookoła dziwne kształty, których nie rozpoznaje.

Rozpoczyna wędrówkę, wiedziony mglistą potrzebą znalezienia czegokolwiek znajomego. Co rusz potyka się o wystające z podłoża sprzęty. Ziemia zmieszana z brudnym piaskiem ogranicza swobodę ruchu i prędkość. Pomimo tego mężczyzna idzie naprzód, pozostawiając za sobą zamkniętą bramę.

– Co to ma znaczyć? To jakiś dowcip? – krzyczy zirytowany, obracając się dookoła i wymachując energicznie rękoma. Przeszukuje kieszenie, znajduje portfel i szwajcarski scyzoryk. Próbuje wyciągnąć banknoty, dokumenty i karty kredytowe. Za każdym razem, w kilka sekund po dotknięciu, każdy z dokumentów i środków płatniczych rozpada się, resztki popieleją.

– Do diabła z tym!

W tym momencie czuje, że serce zaczyna mu bić jak szalone, a włosy stają dęba. Oblewa go uczucie dławiącego lęku. Dygocze. Pułap chmur obniża się, zaciskając duszącą pułapkę.

Obraz zaczyna drgać i falować, zmienia się widoczność oraz krajobraz – miejsce szarego pustkowi zajmuje małe miasteczko, przecięte asfaltową drogą, upstrzone zielenią. Dzień jest pochmurny, z

mżawką. Przez ułamki sekund obrazy wzajemnie na siebie nachodzą, po czym ustala się obraz miasteczka.

– A jednak, to musiał być zły sen.

Rozgląda się. Ze względu na aurę, okolica jest wyludniona. Wtem materializuje się brama. Tamta brama. Jest przerażony. Niepokój podsycany niepewnością zamienia się w panikę.

– Boże, czy to się wreszcie skończy?

Nastaje zupełna cisza, która z każdą sekundą odbiera mu nadzieję.

Pejzaż znowu zaczyna falować i drgać, powracając ostatecznie do niegościnnego odludzia.

Trapią go sprzeczne doznania. Czuje się zagubiony. W akcie desperacji sięga po scyzoryk, którym podcina sobie żyły na lewym nadgarstku.

– Au! – wyje, bo boli okropnie

Krew, a w zasadzie to, co krążyło w żyłach, ma barwę smoły. Po kilku minutach ze zdumieniem stwierdza także, że rana zasklepia się bez śladu, bez blizny.

– Jak to możliwe?

Co jakiś czas przeszywa go podmuch mroźnego powietrza. Mimo to kroczy przed siebie. Teren przeorany jest wzniesieniami, niektóre z nich są wysokie na kilkaset metrów, o ostrych wierzchołkach, stromych zboczach. Istne pustkowia w świecie mroku.

Czas płynie, ale nie sposób odczuć jego upływu. Jego zarost zdaje się nie rosnąć.

Mężczyzna nie czuje zmęczenia. Może minęło kilka godzin, może kilka dni. Coraz mocniej zaczyna mu doskwierać samotność. Z drugiej strony ma wrażenie, że nie jest sam.

– Nie jest dobrze, chyba oszalałem. Muszę znaleźć wyjście.

Co się wydarzyło? Myśl, myśl, musisz sobie przypomnieć – mówi sam do siebie. Idzie, usiłuje przywołać ostatnie wydarzenia. Stanowi to nie lada wyzwanie. Wzrusza ramionami:

– To nie ma sensu!

Słyszy sapanie, przyspiesza. Odwraca się, ale nie widzi niczego niepokojącego. Ma wrażenie, jakby wrogie spojrzenie wwiercało się w jego ciało. Odtąd idzie żwawiej, czując na karku czyjś oddech. W końcu odwraca się i krzyczy:

– Pokaż się!

Nic jednak nie następuje. Czas płynie. Mężczyzna brodzi w śmieciach, leży ich tu mnóstwo, nie sposób zliczyć – poczynając od fifek, butelek, a na broni kończąc. Niedługo później spotyka młodą kobietę, która sprawia wrażenie zagubionej, a przy tym jest wyjątkowo ponętna.

– Jak dobrze, że pana spotkałam. Gdzie jesteście?

– Myślę, że nie wiem więcej od pani.

Rozmawiają. W pewnym momencie orientuje się, że kobieta kieruje już słowa do kogoś innego, a on sam przestał być dostrzegany. Postać, której nie może zobaczyć, mówi jego głosem. Sytuacja przeraża go coraz bardziej. Sprawy wymykają się spod kontroli.

Stoi nieruchomo, jakby przytrzymywany przez niewidzialną rękę. Kobieta niknie mu z oczu, słyszy tylko jej głos:

– Dobrze, Robercie.

Sięga do nadwątlonej pamięci.

– Byłem u Sylwii, dużo alkoholu, czyżby drażę? – skrzętnie wylicza.

– Zaraz, zaraz, Sylwia czy Monika, a może Ewka?

– Może przedawkowałem?

– Boże, ratuj!

Chwilę się namyśla.

– Do czego to doszło, wzywam Boga, w którego nie wierzę. Nie!

Idzie dalej, ogarnia go dziwny niepokój. Zaczyna odczuwać głód. Temperatura stopniowo podnosi się, jest cieplej niż przy bramie. Rośnie też liczba zniszczonych sprzętów. Pojawiają się i inne przedmioty. Strzępy gazet, książek, aktów prawnych, łuski, wiele zdjęć, figurki, posążki – wszystko uszkodzone, często rozszarpane na drobne kawałki.

Na horyzoncie zaczyna majaczyć dziwna łuna, w powietrzu daje się wyczuć delikatny zapach spalenizny. Mężczyzna utkwiał wzrok w jednym z dalekich wierzchołków. Wtem przez ułamek sekundy, poniżej szczytu z prawej strony, kątem oka dostrzega dziwny obiekt – jakby dużego ptaka.

– Co to? – mamrocze z przerażeniem.

Utwierdza go to tylko w przekonaniu, że jest śledzony.

– Przestaje mi się to podobać.

Jest coraz bardziej zmęczony i głodny. Pod stopami co jakiś czas pojawiają się węże i robactwo wszelkiego typu. Poruszanie się stanowi nie lada wyzwanie. Chwilami mężczyzna przystaje, wymiotuje. Zatrzymuje się przy pustej klepsydrze wysokiej na dwa metry. Co ciekawe, w szklanych czarach nie ma piasku ani żadnego innego materiału, którym można by odmierzać czas. Obudowa wykonana jest z ciemnego metalu o czerwonym odbłasku. z mozołem zmienia jej ustawienie, ale nic się nie dzieje. Przez moment się w nią wpatruje, w końcu rusza dalej.

Słyszysz za sobą:

– Proszę, poczekaj!

Odwraca się, dostrzega młodą kobietę. Niepośledniej urody, o delikatnej twarzy, zgrabną, ubraną w tiulowy, opasujący i podkreślający kształty strój. Wydatne usta, szare oczy, cera bez skazy. Jednak przebywając z nią, odczuwa niepokój. Napięcie.

– A wie pan, która godzina?

– Zaraz sprawdzę.

Spogląda na tarczę i przypomina sobie, że wskazówki zniknęły. Sięga po komórkę.

Włącza i mówi:

– To chyba jakiś błąd, bo widzę, że jest 47:13:41.

– Tutaj to możliwe – odpowiada nieznajoma.

Podążają razem. W miarę zbliżania się do światła na horyzoncie, kobieta staje się coraz bardziej opryskliwa. Zmienia się także jej fizjonomia i głos, a w Robercie narasta poczucie lęku i zagrożenia. W końcu zaczyna uciekać. Biegnie, przeskakuje przeszkody: martwe zwierzęce ciała, uszkodzone przedmioty. Słabnie jednak coraz bardziej. Kobieta dogania go, a z jej pleców wyrasta zakończona szponami długa kończyna, którą zaczyna go dusić.

Mężczyzna traci przytomność.

Budzi się w innym miejscu. Ubrany jest w szatę przypominającą szlafrok ciemnej barwy. Może to szkarłat, może czerń. Na plecach ma wyszyty łaciński napis: „stigmatosus”, to znaczy „napiętnowany”. Atmosfera przesycona jest dusznym zapachem palonego, zbutwiałego drewna. Całkiem niedaleko widać tryskające płomienie, jednak strzelające salwy dymu nie pozwalają na lustrację otoczenia. Widzi kolejną postać kobiecą wyłaniającą się z dymu. Ma jasną, ale całkowicie zabrudzoną suknię. Pełno na niej plam ciemnoczerwonej barwy, błota, węgla. Oczekuje z niepokojem. Czuje się osaczony. Gdy postać zbliża się, on drży coraz bardziej. Dostrzega jej twarz – bladą, smutek skapujący z niej jak nieme łzy.

Chce uciec, nie jest w stanie. Kobieta łapie go za ramię:

– Dokąd się tak spieszysz, panie?

Nie odpowiada, trzęsie się.

– Całe życie liczyłeś, pomnażałeś, ryzykowałeś ryzykiem innych, samemu odpowiadając tylko za wynik finansowy? Byłeś nad wyraz kreatywny. Teraz kolej na ciebie!

– Jak to na mnie?

– Pora wyrównać rachunki.

Cały czas próbuje się wyswobodzić, bezskutecznie. Krępują go niewidoczne więzy. Kobieta zmienia się w szkaradną postać w kolorze błota, ze zniekształconą sylwetką. Podążają w kierunku płomieni, dym się rozstępuje. Mężczyzna dostrzega inne demony, rozmawiające z jemu podobnymi nieszczęśnikami. Upiory ubrane są w eleganckie garnitury, sukienki, dzierżą nesesery. Widzi znajomą postać, uprzedniego rywala na rynku.

Na moment obraz się zmienia: szarość, ogień ustępują miejsca słońcu, krystalicznemu niebu, ulicy zatłoczonej samochodami, dokoła rozciągają się biurowce. Widzi swoich współpracowników w trakcie przerwy obiadowej, swoje miejsce pracy. Niedługo potem obraz urywa się.

Chwilę później wybucha ogień, demony zmieniają postać, okropny jęk będący udziałem wszystkich wypełnia przestrzeń. Wraz z demonem idzie dalej. Wokół coraz to więcej ofiar i oprawców. Dręczycieli i dręczonych. Zewsząd dobywa się trawiący wszystko ogień. Jęk. Strach. Chaos. Istne piekło.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Nie ty pierwszy i nie ostatni odpowiesz, Oskarżyciel już przygotował akt. Ale spraw jest dużo, póki co poczekaś w tym areszcie.

Na twarzy demona pojawia się szyderczy uśmiech. W tym momencie mężczyzna czuje ucisk na szyi. Chwilę później materializuje się łańcuch, którego koniec demon dzierży w szponach.

– Zabieram cię w podróż po krainie ciemności. Zobaczysz i doświadczysz wszystkiego, odczujesz na własnej skórze wszelkie okropieństwa.

Mówiąc to, demon wiedzie nieszczęśnika w czeluście. Zaczyna się jedna z największych udręk – wędrówka po ciemnym księstwie. Na widok poszczególnych tortur, mężczyzna nie jest w stanie zamknąć oczu. Męczarnie są bardzo urozmaicone. Zarówno fizyczne, jak i duchowe. Część jednak jest wspólna dla wszystkich dręczonych: brak nadziei, wyrzuty sumienia, rozpacz, przerażenie, gryzący zapach, ciemności, nieokiełznany głód i pragnienie, nienawiść do siebie i swoich czynów, nagość myśli i uczynków, towarzystwo demonów, utrata Najwyższego.

W nikłym blasku pochodni mężczyzna dostrzega ludzi cierpiących katusze – tych, którzy niewolniczo wyzyskiwali innych tak, że ich praca zdawała się nie mieć końca. Obecnie sami są smagani batem i zmuszani do najcięższych robót. Czują głód i pragnienie, widząc suto zastawione stoły, a nie mogą do nich sięgnąć. Ręce i języki płoną niewidzialnym ogniem. Grzeszący mową – z ich ust wydobywają się wszelakie nieczystości, przy tym przeszyci są rozdzierającym bólem. Ci, którzy za życia byli najbardziej znaczący i wpływowi, a czynili nieprawość, wieszani są na językach nad gorącymi oparami – wydają odgłosy o różnej tonacji, tworząc chór potępionych. Wszyscy trzymają się od nich z daleka, nawet anioły nieczyste.

Sięjących przemoc bezustannie nękają demony o zwierzęcych kształtach, raz po raz rozszarpując ich ciała. Towarzyszy im paraliżujący strach i ani na chwilę nie opuszcza uczucie bezradności. Złodzieje są nadzy, z uciętymi kończynami. Zabójcy niemowląt – rozczłonkowywani przez pijące krew demony rozmiarów noworodka. Ci, którzy gardzili starością, sami przybierają postać niedołączonych starców, przeżywają agonię od duszenia się, cierpią ból nie do zniesienia i gniją żywcem. Po pozornej śmierci powstają na nowo i cykl zaczyna się powtórnie.

Robert dostrzega stojącego przed lustrem białego mężczyznę ze swastyką na plecach, okładającego się pejcem. Zbliżają się do niego, a wtedy okazuje się, że przednia połowa nienawistnika jest czarna jak smoła. Nieznajomy zwraca się do wizerunku w lustrze, miotając przekleństwami, pogrózkami,

pogardliwymi określeniami na czarnoskórych. Ci, co dawali zły przykład, odczuwają na sobie skutki własnego postępowania. Człowiek podjudzający do agresji i przemocy wobec innych ludzi czy zwierząt, sam jest bity i dręczony. Nadużywający są trawieni przez skutki odstawienia.

Zdarza się, że mroczny Książę wybiera się na inspekcję swojego władztwa. Nieszczęśnicy doświadczają wtedy dodatkowych cierpień, bo jest on skory do zadawania bólu i bardzo zawzięty. Mówią do niego: Princeps huius mundi, czyli Książę tego świata.

„To jest zarówno koniec jak i początek, początek bez końca” – zwykł mawiać. Przyjmuje postacie wzbudzające przerażenie, ale tak naprawdę nikt nie wie, jak wygląda. To byt duchowy o wyjątkowej mocy. Wędrownik zdaje się nie mieć końca, jak migawki pojawiają się kolejne formy zadawania bólu... Pośród potępionych widać zarówno twarze całkiem obce, jak i dobrze znane, także z kart historii; oraz takie, których nikt by się tu nie spodziewał.

Są też męki, których nie sposób opisać...

Tutaj każda chwila jest wiecznością. I przyjdą jego następcy. I będą cierpieć, a przy tym oglądać i jego cierpienia. Nadszedł czas, aby zaczęła się jego męka... W zasadzie męki, bo jest ich wiele. Oto jedna z nich:

Przebywa w ogromnej, bogato zdobionej sypialni. Akty w złotych ramach, lustra, marmurowe posągi. Łóża wyścielone muślinem i jedwabiem. Leży nagi, jedynie małżeńska obrączka zdobi jego dłoń. Gdy patrzy na nią, przypomina mu się jego wybranka. Wybranka w drugim miesiącu i jego nalegania. Przez chwilę ma wrażenie, że widzi kielich z ciemnoczerwoną cieczą. Tylko przez chwilę, gdyż... Pojawiają się niespotykanej urody kobiety, piękności z różnych kultur, odziane w przezroczyście szaty. Niezaspokojone kusicielki. Oddają się zmysłowemu tańcowi, zapraszają go między siebie. Ma miejsce seksualna uczta. Początkowo jest przyjemnie, wzajemnie wytrącają go sobie z rąk, całując i pieszcząc. Jednak po chwili zaczynają kąsać, a on krwawi. Ból daje znać o sobie.

Zaczyna krzyczeć:

– Na pomoc, zostawcie mnie!

Odgryzają mu części ciała, a ich wygląd zmienia się – stają się brzydkie, postarzałe, skóra trzeszczy przy dotyku, pojawiają się plamy opadowe. Jeszcze żyje, gdy z potwornych kreatur wychodzą obrzydliwe robaki, pochłaniając żywcem to, co z niego zostało.

Za każdym następnym razem nie pamięta, co działo się uprzednio, nie spodziewa się też, do czego zaraz dojdzie.

– To jedna z wielu udręk, jakim jest tu poddawany – mówi demon kolejnemu nieprawemu. – Ta oraz inne jego męki będą powtarzać się bez ustanku.

Nadchodzi czas na konfrontację z demonem – opiekunem. Jego celem za każdym razem jest spotęgowanie beznadziei i udręki. Trwa rozmowa:

– Co zrobiłeś dobrego w życiu, co mogłoby cię ułaskawić? Z tego więzienia nie ma ratunku. Dla nikogo.

Myśli. Nie jest to łatwe pytanie i trudno znaleźć odpowiedź.

– Wiele dobrych rzeczy, ludzie byli zadowoleni.

– Wszyscy? Zawsze? Samozadowolenie nie wartościuje, czy czyn jest dobry, czy zły. Gdzie są, ci których uradowałeś? Część już zdążyłeś tu spotkać.

– Trafili tu przez pomyłkę, jak ja.

– Każdy, kto cię tu spotyka, widzi, co wcześniej stało się twoim udziałem. Jesteś zapewne świadomy, że nic nie dzieje się bez przyczyny.

– Czyżby? A co w takim razie z niewierzącymi, z innowiercami?

– Mamy tu specjalne komturie. Nie ma wyjątków. Niewierzący mają lżej, bo nie mieli szansy na pełne poznanie prawdy, chociaż pomimo pewnej dyspensy wielu z nich tu trafia. Najbardziej cierpią ci, co wiedzieli najwięcej, zwodzili innych, sami mieli dawać przykład. Ale nasza przyszłość jest niepewna. Jest miejsce zwane jeziorem siarki i ognia. Coś jeszcze gorszego od tego, czego doświadczasz. Nikt nie zna Jego zamierzeń, o ile sam ich nie wyjawia.

– A co na to wasz władca? Nie próbuje zniweczyć tych planów?

– Nasz Pan, Oskarżyciel, mimo że mocny, nie da Jemu rady, wygubi ilu się da, ale Jego nie przemoże.

– To znaczy, że jest niegodny czci.

– Dość tego, trafiłeś tu, by cierpieć! Żyłeś na kredyt, niezdolny go zwrócić! Twój dług jest nie do uregulowania, odsetki nie do spłacenia! Mimo to, odtąd twoją powinnością jest go wyrównywać.

Na nowo rozpoczyna się sekwencja kaźni. Początkowa amnezja ustępuje miejsca trwożliwemu oczekiwaniu, niepewności, bólowi i poczuciu beznadziei.

Jest pierwszy listopada. Cmentarz tonie w kwiatach, zniczach, które rozświetlają szaroburą aurę uchodzącego dnia. Tłum okupuje jeszcze las kamiennych nagrobków. Stopniowo przeredza się. Pojedyncze groby są zaniedbane, pozbawione wszelkich oznak pamięci. Zioną pustką, echem zapomnienia. Trzyletnia dziewczynka wraz z matką opuszczają cmentarz. Przechodząc obok zapomnianego, marmurowego grobowca, dziecko mówi do matki:

– Taki smutny grób, zapalmy znicz.

– Pomódlmy się, dobrze?

– Mamusiu, czego nikt go odwiedził?

– Nie wiem, skarbie, może nie miał kto. W życiu nie zawsze się układa.

Stoją chwilę nad grobowcem Roberta. Odmawiają modlitwę. Wiatr bawi się płomieniem świecy.

Zrywa się gwałtowny podmuch, porywając drobne przedmioty, daje się słyszeć zduszony jęk, niknący tak nagle, jak się zjawił.

– Mamo?

– Słucham, kochanie.

– Chyba słyszałam, że ktoś płacze.

– Zdawało ci się. Nikogo tu nie ma. Chodźmy, późno już.

Cmentarz pustoszeje.

*„(...) ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości (...)
Wtedy sprawiedliwi jaśnieć będą. (...)”*

SANDRA GATT OSIŃSKA

POD CIĘŻAREM GRZECHU

Zachód słońca był jak każdy inny. Mozolny, codzienny – zwykły. W jego blasku nawet Burek, pies Nowaków, nie miał siły odpędzać od siebie komarów. Ulica Brzozowa wprost wymarła, wieśniacy położyli się spać razem z kurami. Pani Kalinowska zdążyła już zapewne wysprzątać plebanię i przygotować wieczerzę. Nie lubiła, gdy ktoś jej przeszkadzał w porządkach, dlatego w każdą sobotę wybierałem się na samotny spacer po okolicy. Poświęcałem ten czas na przemyślenia, podsumowanie minionego tygodnia. Rozpierała mnie duma z kazania, jakie przygotowałem na następny dzień. Cisza, panująca podczas moich wędrówek, napawała mnie spokojem i natchnieniem, lecz zawsze budziła podstawowy lęk – a co z Bogiem?

Przystanąłem naprzeciw miejscowej kapliczki i zamknąłem oczy. Wziętem głęboki wdech, próbując zmysłami sięgnąć tego, co nienamacalne. Wciąż czułem pustkę. Spojrzałem na postać Maryi Dziewicy, lecz jej oczy również przepełnione były nicością. Co ze mnie za ksiądz, który sam nie wierzy w Boga?

Ogromny ciężar samotności niczym ponury kruk przysiadł na moich barkach, szepcząc mi do ucha słowa rozpacz. Dopiero po miesiącu odczułem tęsknotę za dawną parafią. Tam był mój dom oraz ludzie, których ukochałem. Tutaj zaś jedynie pani Kalinowska kręciła się po plebanii w ciągu dnia, nie próbując nawet rozpocząć ze mną rozmowy. Nikt nie przychodził na zwykłą pogawędkę przy kawie. Wszyscy traktowali księdza jak relikw, a nie istotę ludzką. Pragnąłem wrócić do dawnego domu, móc spotkać się z podopiecznymi domu dziecka, z którymi spędzałem całe dni. Zapraszałem ich na sobotnie obiady. Nie lubiłem jadać sam, a tym dzieciom brakło domowego ciepła.

Uśmiechnąłem się smutno, spuszczać wzrok. Czy to naprawdę było takie złe? Co ja uczyniłem? Czy dlatego jestem teraz całkowicie sam, w obcym miejscu? Czy to jest moja pokuta?

Z konsternacji wyrwało mnie nagłe szarpnięcie za rękaw mojej bluzy. Spojrzałem w dół i ujrzałem parę ogromnych oczu, patrzących na mnie z ciekawością. Serce zabiło mocniej na widok niewielkiej postaci, lustrującej mnie od stóp do głów.

– Kim jest ta pani? – spytało dziecko, wskazując na posąg Maryi.

– To Matka Boża – odparłem lekko skonsternowany.

– Kto to Boż?

– Bóg – poprawiłem chłopca. – Nasz Pan, Stwórca wszelkiego życia.

– A kim pan jest?

Spojrzałem z niedowierzaniem na chłopca. Miał może siedem, osiem lat. Dziwiło mnie, że w tak bogobożnym małym miasteczku znalazło się dziecko, które nie miało pojęcia o Bogu.

– A ty? Jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? – odparłem.

– Tam. – Chłopiec wskazał na popadający w ruinę dom. – Mieszkam z mamą, ale ona jest ostatnio bardzo zajęta. Znowu przyszedł do niej pan Bogdan, więc mnie wypędziła z domu. Nawet nie dała mi kolacji – powiedział, kopiąc kamyk.

– Może chciałbyś zjeść dziś ze mną? – zacząłem mówić, zanim to przemyślałem. – Mógłbym opowiedzieć ci więcej o Panu Bogu.

– Chętnie! – odparł chłopak, uśmiechając się radośnie.

Szliśmy w całkowitym milczeniu, okryci ostatnimi promieniami słońca. Nagle chłopiec wsunął mi w rękę dłoń i chwycił mocno. Przez chwilę miałem wrażenie, że jego twarz zmieniła kształt, lecz rozmyło się to wraz z mrugnięciem oka. Uśmiechnął się niewinnie i rzekł:

– Tak w ogóle jestem Franek.

* * *

Z początku pani Kalinowska sprawiała wrażenie podejrzliwej. Ustawiając talerz z pieczenią na stole, spojrzała badawczo na Franka. Wystarczył jeden czarujący uśmiech z jego strony, aby kobieta złagodniała. Nalałem sobie wina do szklanki i podziękowałem pani Kalinowskiej za dzisiejszy dzień. Po chwili kobieta wyszła z pokoju i rozległ się trzask zamykanych drzwi frontowych.

Chłopiec łapczywie pochłaniał jedzenie, jakby jego żołądek nie miał dna. Obserwowałem go z nieukrywaną fascynacją, nalewając soku do szklanki. Podałem mu ją. Anielska twarz, oblana światłem świec, potęgowała we mnie dawno zapomniane uczucie. Nie miał umiaru w jedzeniu i picciu, a ja jedynie uśmiechałem się pod nosem. Pociągnąłem łyk wina, gdy Frankiem targnęły konwulsje. Zwymiotował prosto na talerz i osunął się z krzesła.

Wytarłem twarz serwetką i wstałem od stołu. Stałem obok chłopca. Leżał blady i zwinięty w kulkę, patrząc na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Krztusił się śliną pomieszaną z wymiocinami.

Uklęknąłem obok niego i położyłem dłoń na gładkim czole.

– W porządku? Jesteś rozpalony – stwierdziłem z troską w głosie.

– Po prostu za dużo zjadłem – szepnął, wycierając twarz o rękaw.

Pogładziłem jego spocone włosy. Piękna postać skalana brudem własnych wymiocin leżała przede mną i patrzyła błyszczącymi oczami. Stanowił dla mnie ideał, którego bardzo pragnąłem. Podniecenie ogarniało mnie coraz bardziej, a nieczyste myśli plątały się w głowie. Nie potrafiłem się powstrzymać.

– Chodź, pomogę ci się doprowadzić do ładu – powiedziałem.

Wsunąłem ręce pod wątlę ciało i pochwytiłem Franka w ramiona. Był lekki niczym piórko, palcami wyczuwałem każde żebro. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, zaniósłem go do pokoju gościnnego. Delikatnie ułożyłem chłopca na łóżku. Jego ręce obejmowały moją szyję, uśmiechał się.

– Jesteś bardzo samotny, prawda? – szepnął.

– Nikt nie jest w życiu sam, kiedy wierzy w Boga.

– A czy ty wierzysz w niego?

Zamarłem, patrząc w głębię jego oczu. Nasze usta złączyły się ze sobą. Pierwszy pocałunek był delikatny i niewinny. Drżałem na całym ciele, jakbym znów stał się nastoletnim chłopcem. Usiadłem obok Franka, a następnie pocałowałem go bardziej namiętnie. Brakowało mu doświadczenia, co jeszcze bardziej mnie nakręcało. Podnosiłem koszulkę chłopca, wtapiając usta w dziecięcą twarzyczkę. Skórę miał jędrną i miękką, pachnącą nieskalaną młodością. Leżał z włosami rozrzuconymi na poduszce, dysząc ciężko.

Odwrociłem się, aby nie patrzeć. Bestia, z którą walczyłem od wielu miesięcy, próbowała znów objąć mnie swymi szponami. Wewnętrzny konflikt rozpierał duszę. Nie mogłem pozwolić sobie na ponowny upadek pod ciężarem własnego grzechu. Zbłądziłem głodny ciał młodych chłopców, a moja pokuta zdawała się nie mieć końca.

Z zamyślenia wyrwało mnie dotknięcie małej dłoni na udzie. Zamknąłem oczy, próbując się opanować, lecz obecność Franka doprowadzała mnie do szału. Pogładziłem jego włosy, a on delikatnie dotknął mojego krocza. Poczulem, jak rozpina pasek w dosyć niezręczny sposób. Drżącą

dłonią Franek chwycił penis, a jego wzrok wyrażał niepewność. Koniuszkiem języka dotknął żołądź i ucałował go, doprowadzając mnie do dreszczy.

Leżałem beczynn timer, patrząc w sufit i słuchając odgłosów ssania. Krew gwałtownie pulsowała w moich skroniach, doprowadzając do szaleństwa. Gładziłem głowę chłopca, czując coraz większe poczucie winy, a zarazem ogromną rozkosz. Próbowałem opanować wytrysk, do momentu aż chłopiec odsunie twarz od mojego przyrodzenia. Szczytowałem, czując, jak ciepła ciesz, wypływa ze mnie rzewnym strumieniem. Stanowczo było jej za dużo na spermę. Podniosłem się i spojrzałem na krocze. Grymas bólu wystąpił na mojej twarzy, a krzyk ugrzązł w gardle, przemieniając się w bezradne charknięcie. Krew lała się strumieniami z kikuta, który jeszcze przed chwilą był moim penisem.

Franek przeżuł członka, patrząc na mnie wyzywająco. Przetknął głośno i oblizał lubieżnie zakrwawione wargi. Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Czym jesteś? – wykrzyczałem piskliwie.

Nie poznawałem własnego głosu. Nie czułem swojego ciała. Opadłem na łóżko, a świat zawirował przed moimi oczami. Franek pochylił się nade mną i pogładził spocony policzek. Językiem przejechał po moim oku.

– Grzechem zrodzonym z twojego upadku.

– Demon – wycodziłem przez zęby.

Ostatnie, co pamiętałem, to donośny śmiech wydobywający się spomiędzy złotych kłów, rozlegający się pustym echem w mojej głowie.

* * *

Ranek był rześki i słoneczny. Słońce padało wprost na oblicze Matki Boskiej, patrzącej wciąż z pustym wyrazem oczu. Nie czułem nic, nawet wiatru targającego włosami. Mogłem jedynie patrzeć z pogardą na otaczający mnie świat. Czekałem z niecierpliwością, aż pierwsi mieszkańcy wsi zbudzą się ze snu, aby to właśnie dziś odnaleźć zwłoki, przybite do przydrożnego krzyża.

Jak długo, do cholery, miałem tu jeszcze wisieć?

PATRYK HIRSEKORN

ŁAPACZ MYŚLI

Zanim chłopiec i dziewczynka się spotkali, pojawiło się między nimi słowo. Potem warkocz – zwany też czasem – zaczął się zaplatać. Pojawiły się zbieżności zdarzeń, pojawiły się zjawiska i wtedy także pojawili się przyjaciele. To oni nadali chłopcu przydomek „Łapacz myśli”.

We czterech siedzieli w małym pokoiku, na małym dywanie. Refleksy światła odbijające się od szyby ukazywały ich twarze. Na zewnątrz była przejrzysta noc, skryta pod sztucznym światłem lamp pokojowych. Księżyc pojawił się ostatnio dwa dni temu i powróci dopiero pojutrze. Chłopiec nigdy nie mylił się w tych sprawach i to nie dlatego, że oglądał długoterminową pogodę w telewizji. Łapał jedną z myśli. Działał jak radio wychwytyjące kanały na częstotliwości czasu. To właśnie czas nauczył go, że o takich rzeczach nie mówi się na głos i nie rozmawia się o nich z ludźmi, którzy wierzą, że zjawiska te nigdy nie wychodzą poza ekran telewizora czy kartki książek.

Pewnego listopadowego dnia, rok temu, kiedy matka przygotowywała chłopcu smażony na patelni chleb z jajkiem, powiedział jej, żeby się nie przejmowała.

– Czym miałabym się nie przejmować? – spytała. Jej głos zawsze przybierał pozornie troskliwy ton wtedy, gdy podejrzewała, że jej syn znowu coś przeskrobał. – Coś się stało?

– Nie wiem. Za dwa dni każ tacie iść od razu spać. Wtedy wszystko będzie w porządku.

– Znowu zaczynasz z tymi swoimi kłamstewkami? – Odłożyła patelnię i przekreśliła kurek na kuchence. Ogień zgasł, ona się obróciła. Nigdy kłamstwa, nigdy żarty – odkąd pierwszy raz usłyszała o dziwnym zachowaniu syna, zawsze te wybryki nazywała kłamstewkami. – O co chodzi tym razem? – spojrzała mu prosto w oczy.

– No... słyszałem twój płacz... w lutym.

Nie odpowiedziała. Nastąpiła długa chwila ciszy i tego momentu chłopiec bał się najbardziej. Bał się, że będzie musiał ją przerwać.

– Poroniłaś dziecko. Tak powiedziałaś tacie. I płakałaś. Głośno. Co to w ogóle znaczy poron...

Nie dokończył, gdyż matka wybiegła z kuchni. Szlochała głośno, dopóki nie przyjechał ojciec i nie złożył chłopcu pasem skóry. Wtedy nauczył się, że wszystkie głosy powinny pozostawać w jego głowie. Historia skończyła się tak, że w lutym przyjechała karetka i zabrała mamę.

Teraz, w nocy, opowiadał to trzem kolegom, którzy kazali nazywać się Murarzami. Murarz jeden, dwa i trzy – chłopiec nigdy nie spytał, dlaczego. Kiedy powiedział im, że ma na imię Daniel, oni i tak wołali na niego Łapacz myśli. Nawet nie wiedział, w jakim są wieku, ale sądził, że skoro nie przewyższają go wzrostem, to zapewne mają jedenaście lat jak on.

W pokoju znajdowały się stare meble. Nie było żadnych plakatów z zespołami, choć Daniel chciał, żeby na ścianach wisiały twarze Deep Purple albo chociaż Dżemu. Zamiast tego miał drewnianą półkę, stół, krzesło, łóżko i miękki, kwadratowy dywan. Siedział na nim z Murarzami i wpatrywał się w tabliczkę, którą przyniesli.

– Jest drewniana – odparł Murarz Jeden, który był tony i bardzo chudy. Wyglądał, jakby był śmiertelnie chory. Daniel nie wiedział o nim nic, poza tym, że jest śmieszny i z trzech ma numer jeden. – Chodzi o to, że ktoś wyrzył na niej wszystkie litery alfabetu jakiegoś tam...

– Łacińskiego – dodał Murarz Dwa. Odzywał się przeważnie wtedy, kiedy musiał kogoś poprawić. W przeciwieństwie do przyjaciela wyglądał żywo i był lakoniczny.

– Zamknij się, teraz mówię ja! No... więc znalazłem ją i zobacz, jest bardzo stara. Naprawdę, tylko nie pamiętam, jak się nazywa – rzekł i zamilkł. Murarz Dwa także nic nie mówił. – Dlatego nazwałem ją Łapacz myśli. Dobrze, co? – Objął się w talii i zaśmiał się.

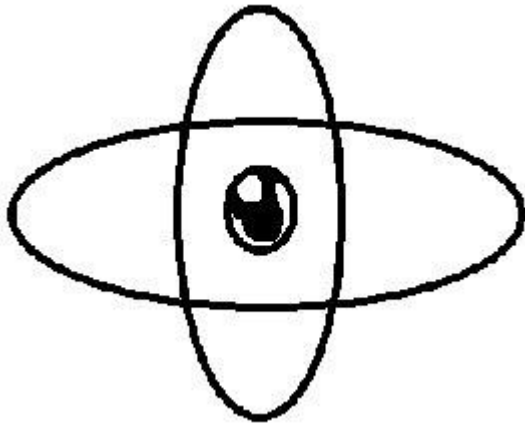
– Ty wszystko nazywasz Łapaczem myśli. Ja jestem Łapaczem myśli, drewniana tabliczka, co jeszcze w takim razie?

– Nieważne. Chodzi o to, że podobno można się nią porozumieć z kimś innym – wtedy uniośł ręce w górę i zaczął wydawać z siebie przeciągłe dźwięki: „uuuuu”, „taaaa”, „hooooo”.

– Z duchami...

– Dobrze, wiemy! Z duchami. I wiesz, o czym myślę, co, Łapaczu? Ty i ta tabliczka jesteście dla siebie stworzeni! Dlatego tak ją nazwałem!

Daniel podrapał się po głowie. Tabliczka, oprócz uporządkowanych cyfr i liter w kolejności alfabetycznej, ułożonych od lewej do prawej w trzech wierszach, miała także wryte cztery znaki. Na dole, w rogach, były dwie pięcioramiennie gwiazdy. W prawym górnym rogu widniał sierp księżyca z taką samą gwiazdą, a w lewym górnym roku znajdowało się coś, co mogło kojarzyć się z symbolem nieznanego kultu:



Chłopiec był prawie pewien, że to para oczu, której ośrodkiem była jedna rogówka.

– I co miałbym niby w tej sprawie zrobić, co? – spytał Daniel, patrząc po twarzach przyjaciół. Jeden był uśmiechnięty, drugi nie wydawał się być niezainteresowany, a trzeci już otwierał usta, żeby coś powiedzieć.

– Prócz tabliczki znalazłem też to – oznajmił Murarz Trzy i z wewnętrznej kieszeni wyświechtanej bluzy z zamkiem wyjął zwiniętą w rulon kartkę, która była pożółkła i lekko naderwana po bokach, dlatego Daniel złapał ją delikatnie.

Murarz Jeden trzepnął po głowie Murarza Trzy.

– Ale z ciebie dupek! Umówiliśmy się, że tabliczkę znalazłem ja, a ty tylko ten świstek papieru!

– Czy to takie ważne? – szepnął Daniel, ostrożnie rozwijając kartkę papieru. Figurował na niej tekst:

A CAPITE AD CALCEM

A CASU AD CASUM

MUNDUS VULT DECIPI, ERGO DECIPIATUR

– Co to znaczy? Nawet się nie rymuje.

Murarz Jeden wzruszył ramionami.

– Ty nam powiedz. Ty jesteś łapaczem myśli. Pomyśleliśmy, że może będziesz potrafił to jakoś przetłumaczyć. Albo ktoś będzie potrafił, a ty... no wiesz. – Murarz Jeden wolnym ruchem wyciągnął przed siebie rękę i złapał powietrze między palce.

– Daniel! – Z dołu dobiegł chłopców kobiecey krzyk. – Czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Weszła po schodach i kiedy otworzyła drzwi, spojrzała na syna siedzącego na dywanie ze skrzyżowanymi nogami. Miał ręce uniesione w górę, jakby coś czytał.

– Słyszałam, że z kimś rozmawiasz.

– Z przyjaciółmi – odparł Daniel i spuścił głowę.

– Przestań już! Tyle razy mówiłam ci, że chłopcy, z którymi się bawisz...

– Wiem, mamgo! – Daniel przerwał matce tonem, którego czasem używał ojciec, kiedy miał dosyć słuchania o jego przygodach. – Wiem. Oni nie istnieją.

Tych kłamstewek lubiła słuchać.

* * *

Wczoraj był piątek – Daniel nie złapał tamtego dnia żadnej myśli. Wpatrywał się w kartkę papieru, którą przekazał mu Murarz Trzy. Dotykał słów i wypowiadał je na głos. Ostatnim razem myśl, której teraz szukał, pojawiła się w czwartek jako obraz w postaci trzech Murarzy. Daniel był pewien, że po dniu Wszystkich Świętych nie wrócą, a właściwie odejdą tam, skądkolwiek przybyli. Przynieśli mapę słów, przynieśli tabliczkę, a na koniec zniknęli. Danielowi wydawało się, że to w ich stylu.

W sobotę pokazali się, kiedy niebo znów przybrało granatowy odcień. Daniel dostrzegł chłopców siedzących na dywanie ze skrzyżowanymi nogami. Bawili się już tabliczką. Uśmiechnął się na ich widok.

– Siemasz! Zapomnieliśmy o jednej rzeczy. Trzymaj – odparł Murarz Jeden i rzucił w stronę siedzącego na łóżku Daniela mały klocek. Był w kształcie trójkąta z wygładzonymi wierzchołkami. Przedmiot miał na środku dziurę, która przypominała jeden z symboli wrytych na tabliczce.

Daniel przysiadł się do nich. Zastanawiał się, czy jeżeli wróci do szkoły po trzydniowej przerwie, to Murarze pójdą razem z nim? Tam wszyscy znali jego kłamstewka i bali się usłyszeć z jego ust cokolwiek, co zaczynało się na: „a wiesz, że...”.

– Połóż to na tabliczce. Na jakieś literze – oznajmił Murarz Trzy. Jeden i Dwa patrzyli w skupieniu na Daniela.

Kiedy Daniel przyłożył trójkącik do tabliczki, okazało się, że kółko obejmuje w całości tylko jedną literę lub cyfrę. Sprytne – pomyślał.

– I? Co dalej?

– Rozszyfrowałeś już te słowa, co nie? – spytał Murarz Jeden. Patrzył na twarz Daniela, której wyraz się nie zmieniał. – Nie rozszyfrowałeś? Nie tak się umawialiśmy!

– Nie znam tego języka! Jak miałem to zrobić?

– No... wiesz. Złapać myśl czy coś...

– Nie umiem tego robić, kiedy chcę.

– Jaką ostatnią myśl złapałeś?

Daniel, pochylony nad tabliczką, patrzył w oko trójkąta i zastanawiał się, jaki ostatni obraz lub dźwięk przemknął mu przez głowę. Wtedy trójkąt drgnął lekko, jakby chłopiec stuknął w niego palcem. Daniel był tak skupiony, że nie zauważył, jak drewniany klocek z E zaczął przesuwac się w

stronę D. Murarze siedzieli cicho i wpatrywali się w skupieniu. Kiedy D znalazło się w oku trójkąta, Daniel oprzytomniał.

– Jakiś czas temu słyszałem trzaski. Przy Parsęcie albo Pilicy, nie pamiętam dokładnie gdzie, ale znaleziono tam nieżywą dziewczynkę. Mówili o tym w wiadomościach. Miała czternaście lat i kilkanaście złamań.

– A przedostatnio? Coś słyszałeś? Coś widziałeś? – spytał Murarz Jeden i ze zdziwieniem spojrzął na przyjaciół. Daniel nie wyłapał w głosie ciekawości.

Chłopiec znów przybrał ten sam wyraz twarzy. Murarze nie wiedzieli, czy zapomniał, że trzyma trójkąt, czy udawał, że nie widzi, co się dzieje. Kiedy Daniel myślał, klocek z D przeszedł na R, a potem zdążył jeszcze przesunąć się na Z.

– Eee... to może wydać się wam dziwne.

– Powiedz. Postłuchamy – odparł Murarz Trzy.

– Usłyszałem cmokanie.

– Cmokanie? – spytał Murarz Trzy. Wiedział, że o czymkolwiek pomyślał chłopiec, nie był to pocałunek.

– Mhm. Mężczyzna wziął nóż i zrobił tak...

– Nie, nie, nie! – krzyknął Murarz Jeden, ale chłopiec już sięgał palcem do nadgarstka. Poruszał nim tak, jakby grał smyczkiem na skrzypcach. – No i wszystko szlag trafił... – odparł.

Murarz Dwa szturchnął Murarza Jeden. Daniel myślał o mężczyźnie ssącym własną krew. Po kilku minutach przestał to robić, padł na ziemię i, głośno zapiąc, oglądał palącą się lampę na suficie. Zamarł w takiej pozycji i... tyle Daniel zdołał zobaczyć.

– Złap za klocek. Może teraz nam się uda – odparł Murarz Jeden, który uśmiechał się nazbyt życzliwie.

Daniel to zrobił i nim coś powiedział, odezwał się chłopiec z wyświechtaną bluzą podartą na rękawach i numerem trzy:

– A pamiętasz pierwszą myśl? Tę, od której to się zaczęło. Zastanów się. To ważne.

Klocek, który wcześniej zatrzymał się na Z, szybko przeszedł na W; potem na I. Daniel tym razem zauważył ruch (był gwałtowniejszy od poprzednich) i szybko podniósł rękę. Wydał z siebie zduszony krzyk.

– Drzwi! – krzyknął Murarz Jeden i klasnął w dłonie. Wszyscy trzej się uśmiechnęli. – No jasne! Drzwi! Mój ty... – Murarz jeden miał ochotę złapać Daniela i ucałować, ale kiedy jego dłoń wniknęła w ciało chłopca i przeszła z drugiej strony, Daniel przestraszył się jeszcze bardziej. Czuł, jakby ktoś włożył mu między mięśnie ołowianą rurę. Rozrywał ścięgna i drażnił narządy. Łamał kości.

Tym razem krzyknął z bólu.

– Daniel! Daniel, w porządku? – spytał ojciec. Chłopiec wiedział, że ojciec siedzi wygodnie na fotelu i nie ruszy się z miejsca, dlatego podbiegł do drzwi i lekko je uchylił.

– Tak, tato! W porządku! – wykrzyczał w stronę schodów.

Kiedy spojrzął na dywan, chłopców już nie było.

* * *

Daniel nie przesiadywał w pokoju, przesiadywał w ruinie, która tylko pokój przypominała. Tutaj wszystko było ruiną, przynajmniej z perspektywy osób z zewnątrz. Kiedy rodzice kupowali jednorodzinny dom, przebierali w pozycjach z nadwyżką jakości względem ceny. Nawiedzony dom za

sto dwadzieścia tysięcy złotych odrestaurowany w rok? Wygląda jak willa! Bierzymy kredyt! Bierzymy go!

Z takiego powodu Daniel mieszkał w kręgu przewalających się murów, pagórków z cegieł, grubych drutów, prętów wyrastających z ziemi i betonowego pyłu, gdzie wszystkie zawalone budowle miały swoją historię. Ich dom był jednym z pierwszych, które zostały odrestaurowane po pożarze lasu. Z pięknych koron zabarwionych wiosenną zielenią zostały aleje spopielenych drzew. Czasem, kiedy Daniel wychodził z domu, widział płynące w powietrzu ognie, tłące się w swawolnym tańcu liście. Tak wyobrażał sobie pożar, o którym wspomniała kiedyś mama w jego obecności. Sunące języki ognia dosięgły oddaloną część wioski, tę, gdzie na początku dwutysięcznego roku rozbudowały się nowe rodziny. Teraz pozostały trzy domy, a prowadziła do nich uliczka wyłożona płytami betonowymi, spod których wyrastały kępy traw.

Dlatego kiedy w niedzielę do stołu zasiadali rodzice i dziadkowie, każda kolejna rozmowa poprzedzana była dwoma tematami. Hipoteki i przeprowadzki. Dziadek nigdy nie mógł wybaczyć ojcu Daniela, że osiedlił się w takim miejscu, dlatego nakłaniał go do kolejnej przeprowadzki, tym razem z powrotem do miasta. A Daniel słuchał każdego słowa i zachowywał się, jakby go tam nie było.

– Nie możesz tłumaczyć całemu światu, że ty i żona kochacie spokój – mówił. – Nie pozwalam ci tutaj dłużej mieszkać! Masz wrócić do miasta! – krzyczał, a kiedy matka upominała go, że krzyczy, on zaczynał robić to jeszcze głośniej.

– Przyjeżdżam i widzę same stare mury! Ruiny! Gdzie tu ta złota jesień, o której mówiłeś, hę? Powiedz mi, gdzie ty widzisz tutaj spokój!!!

Cisza, spokój.

Nie był to pierwszy raz. Mama wstawiała wtedy po album ze zdjęciami i pokazywała im, jak wioska wyglądała kiedyś. Mówiła: och, ach. Ojciec też tak mówił, ale niezłomność zakorzeniona w przedwojennych charakterach dziadków była nie do przebicia.

Daniel zacisnął dłoń na sztuccach. Mama podała wszystkim obiad: kotlety schabowe i duszone ziemniaki z masłem. Patrząc na nie, Daniel pocił się i gorączkował. Starał się stłumić wrzask w krtani. Wszystkie myśli przychodziły nie w porę.

Wstał i bez słowa odszedł od stołu. Na środku holu leżały jego trampki i to na nich się skupił. Białe sznurówki, czarny, płócienny wierzch po kostki, logo gwiazdki z napisem, którego nie umiał przeczytać poprawnie na głos. Na białej gumie lewego buta Daniel napisał czarnym markerem AC/DC, a na drugim STYX. Uczniowie szkoły, do której chodził, wypisywali na trampkach nazwy różnych zespołów: IRON MAIDEN, GNR, SOAD, KISS, NEMEZIS. Daniel żadnego z nich nie znał, ale chciał być taki jak reszta. Te napisy wydawały mu się fajne.

– Gdzie wychodzisz, szkrabie? – spytała babcia. Zielone oczy spod gołębich kołtunów spoglądały na niego z zaciekawieniem. Babcia zawsze lubiła Daniela, mówiła, że jest Bożym darem. Dziadek był innego zdania.

Daniel nie odpowiedział. Usiadł i zaczął zakładać buty. Patrzył na sznurówki.

– Babcia coś się ciebie pyta! – krzyknął ojciec.

– Wychodzę.

– Ale gdzie? Do przyjaciół? Masz przyjaciół? Jacy oni są?

– Są Murarzami, babciu.

Babcia z niepokojem spojrzała na matkę i ojca Daniela.

– Sami siebie tak nazywają – zaśmiała się nerwowo mama. Złapała tatę za rękę. – Są w jego wieku. Czasem... czasem bawią się razem w pokoju.

– Ach! To świetnie. Jestem zadowolona.

Daniel wstał i włożył na siebie płaszcz przeciwdeszczowy. Złapał za klamkę i zadał sobie pytanie. Może jednak jej powiedzieć? Wtedy spojrzał na ojca, na jego silną rękę. Zerknął na babcię, a potem szybko się odwrócił.

– Czeka! – zawołał dziadek w jego stronę. – Dziwnie przed chwilą na mnie patrzyłeś. Nie cierpię takiego spojrzenia.

– Wcale nie patrzyłem na ciebie, dziadku.

– Właśnie że patrzyłeś – skierował wzrok na swojego syna. – Jak ty go wychowałeś! Nie powinien żyć w takim miejscu jak to. Nawet nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie. Tfu! Gdyby żył w mieście, mówiłby poprawnie.

– Odpowiedz dziadkowi – rzekł tato w stronę Daniela.

– Ale...

– No, co chciałeś? Mów, mów. W tym domu dzieci się nie bije, kiedy robią to, co im się każe.

Daniel przełknął ślinę. Zacisnął dłoń na klamce jeszcze mocniej, po czym powoli i zrozumiale wypowiedział każde słowo, patrząc w wesoło zmrużone oczy babci, której wyraz twarzy nie zmieniał się nawet w tak napiętych sytuacjach jak ta.

– Będą chcieli zszyć ci palce dłoni grubą igłą i żyłką. Mówili, żebyś nie kradła z kościoła pieniędzy... Nie wszyscy ludzie, którzy chodzą do kościoła, są dobrzy, babciu.

Nim rozpiętało się piekło, Daniel otworzył drzwi i wyszedł.

Na zewnątrz czekali na niego przyjaciele.

* * *

– Chyba nie mam już po co wracać do domu – powiedział Daniel. Odwrócił się, kiedy schodzili ścieżką w dół. Dom wyglądał, jakby wisiał w powietrzu między rozbitymi murami, kopcami ukruszonego tynku i czarnymi ścianami innych, martwych domów. Zamieszkały pośród wszystkich opuszczonych nie pasował do popołudniowego pejzażu. Po lekkiej mżawce jednobarwny kolor rozchodził się po całym niebie. Daniel nie był pewien, czy ma przywidzenia, czy wszędzie wokół unosi się lekka mgiełka.

– Chodź – klepnął go w plecy Murarz Jeden. Palcem wskazał na ciągnący się ku nieznanym krainie las. Wpierw minęli spalone konary, później świeżo zasadzone sosny, a na końcu horyzont zakryty kosmatymi gałęziami i liśćmi jesiennej barwy. Wszędzie czuć było zapach goździków i kurzu. – Spacer dobrze mu zrobi, co nie, mój ty Murarzu Dwa?

– Tak.

– Nie przemokną ci nogi? – spytał Murarz Trzy.

Daniel spojrzał na ich bose stopy. Wzruszył ramionami. Wszystko było mu w tej chwili obojętne. Wieczorem i tak dostanie pasem na goły tyłek. W uszach słyszał już trzask skóry objającej się o skórę.

– Myślałem o tamtych słowach na papierze – mówił do Murarza Trzy, kiedy szli przed siebie. Gałązki tępały się pod ich stopami. Daniel lubił ten dźwięk.

– Tak? Jezu, naprawdę? I? Wiesz już, co znaczą? – spytał Murarz Jeden, zatrzymując się przed Danielem. Złapał go za barki. Oczy lśniły mu jak światła morskich latarni.

– Nie, nic a nic. Ale pomyślałem, że mogą być w tym samym języku co... – Podniósł but do góry. Skacząc na jednej nodze, starał się pokazać im napis na tyle buta.

– All S... Stars – rzekł Murarz Dwa. Wzruszył ramionami.

– Eee... chyba jednak nie – oznajmił Murarz Jeden. Westchnął w tym samym momencie, co numer trzy. – Cóż... może uda nam się i bez tego. Chodźmy, bo nigdy tam nie dojdziemy!

Murarze zaprowadzili chłopca do kolejnej zwykłej ceglanej ściany. Minęli po drodze ambonę i kilka saren. Daniel spodziewał się, że kiedy znajdą się na miejscu, ujrzy jezioro wielkie jak morze albo drzewa sięgające do samego nieba. Rozczarował się, kiedy zobaczył ścianę długą na sześć metrów z drewnianymi drzwiami wyglądającymi jak zbitka desek lipy, dębu, brzozy i innych gatunków drzew.

Murarz Jeden podbiegł do nich. Drzwi o różnych odcieniach drewna wyglądały jak martwa tęcza. Chłopiec zastanawiał się, czy czerwone cegły mokre od deszczu rozpadłyby się, gdyby rozpędził się i w nie kopnął.

– To są drzwi! Dasz wiarę?

Daniel westchnął ponuro. Podszedł z Murarzem Dwa i Murarzem Trzy bliżej. Numer jeden objął chłopca ramieniem jak prawdziwego przyjaciela. Były łysy, martwy i uśmiechnięty.

– Słyszeliśmy twoją kłótnię z rodzicami. Naprawdę, nie chcieliśmy, ale pomyśleliśmy, że możemy cię rozweselić. Prawda, chłopcy?

– Tak.

– No...

– Widzisz? Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, dlatego pokażemy ci pewną sztuczkę. Widziałeś kiedyś magika?

– Eee... takiego, który wyjmuje króliki z kapelusza?

– Łał! Naprawdę widziałeś kogoś takiego? – Murarz Trzy trzepnął go po głowie. – Au! Dobra, koniec głupich żartów. Podejdź do drzwi. Dotknij ich, przejeźdź po nich palcami. Poczuj i powiedz, czy są prawdziwe.

Daniel zrobił tak, jak polecił mu Murarz Jeden. Uwolnił się z jego niezbyt silnego uścisku i podszedł do drzwi, z udawanym zaciekawieniem obserwując każdy szczegół. Ale drzwi były tylko drzwiami. Były drewniane, szorstkie i... suche. To zdziwiło chłopca.

– Sami je zrobiliście?

– Skąd wiedziałeś? Sami je wstawiliśmy! – Daniel raz jeszcze spojrzął na drzwi. Nie widział ani futryny, ani zawiasów. Popchnął je z nadzieją, że upadną po drugiej stronie muru. Nie upadły, tylko zaskrzypiały boleśnie. – Spokojnie, rumaku! Sprawa wygląda tak: spójrz na mnie i powiedz, czy jestem poważny.

– Nie wiem. Chyba...

– Kiedy przez nie przejdiesz, spotkamy się dopiero rano, jasne? Zabawimy się w pewną grę. Ja będę mieć na imię Mietek, on – wskazał na Murarza Dwa – Andrzej, a tamten mądraliński Wacek. Mietek, Andrzej i Wacek. Powtórz.

Daniel powtórzył. Murarze uśmiechnęli się wesoło.

– Dobrze! Będzie ciekawie, obiecuję! Będziemy udawać, że poznajemy się na nowo, dobra? Widziałeś, jak mijaliśmy ambonę, co? Tam spotkamy się o dziewiątej rano. Powtórz, o której się spotkamy.

Daniel powtórzył. Spojrzął na drzwi. Spojrzął na Murarzy. Pomyślał o ciepłym i wygodnym pokoju.

– Dobra. Teraz najważniejsze. Jak już się na nowo spotkamy, musisz nas namówić, żebyśmy zostali na zewnątrz do dwudziestej drugiej. Andrzej zawsze nosi zegarek na rękę, więc z czasem sobie poradzisz. Dasz radę to zrobić?

– Dam.

– Więc... zapraszamy na przejażdżkę kolejką górską – powiedział Murarz Jeden i nie ruszył się z miejsca.

Daniel patrzył na nich. Na ich twarze. Zmieniły się. Uśmiechy, które jeszcze przed chwilą rozciągnięte były od ucha do ucha, lekko przygasły. Czekali, aż Daniel złapie za klamkę.

Chłopiec obrócił się w stronę drzwi i raz jeszcze przejechał po nich dłonią z nadzieją, że złapie myśl, która pomoże mu rozwiązać choć po części zagadkę Murarzy. Problem tkwił w tym, że przez martwe rzeczy nie przepływał czas. Fala takich przedmiotów ciągnęła się jednostajnie tylko w jedną stronę: ku rozpadowi. Chłopiec złapał za klamkę, nacisnął i powoli otworzył drzwi, które gładko, niemal same przesunęły się do przodu.

Gdyby ktoś stał w pobliżu, nie widziałby Murarzy. Nie widziałby drzwi, tylko małego, pochylonego chłopca, który przeciska się przez otwór w murze i znika tak, jak w nocy niespodziewanie gaśnie światło.

* * *

To, co znajdowało się po drugiej stronie muru, było apogeum wszystkich wytworów wyobraźni, jakie widział jeszcze chwilę temu. Plujący żar i gorąc oblewający ciało jak płynne żelazo. I kiedy Daniel otworzył oczy, dostrzegł te ognie, te jesienne liście pod szarym niebem, których szelest wraz z szumem wiatru wzbudził w nim gorączkę nadziei. Serce biło w klatce piersiowej, jakby chciało połamać wszystkie żebra. Myślał, że znajdzie się w cudownej krainie z truskawkową rzeką, tęczowymi grzybami, które rosną pod spiralnymi pniakami wyglądającymi jak pnącza fasoli, że otwierając oczy, obudzi się między gadającymi królikami. Wylądował zaś po drugiej stronie ściany, gdzie mur stał ułożony z tych samych cegieł.

Zdziwiony, spojrzął za siebie. Szybko rzucił się na drzwi i dłońmi złapał za klamkę. Szarpnął bezskutecznie, a potem jęknął z wysiłku, próbując jeszcze kilka razy. Drzwi stały w miejscu, jakby ktoś namalował je na murze. Był spanikowany. Natychmiast do jego oczu napłynęły łzy. Rozsądek przyszedł jako ostatni. Zaświecił jasno jak słońce, jak płomień, na którego widok z ust wydobywa się westchnienie.

Daniel westchnął i pacnął się w czoło. Obszedł mur naokoło. Nic się nie zmieniło, to tylko głupi kawał Murarzy, którzy uciekli i zostawili go w lesie. Był smutny, bo nawet nie spytali go, czy wie, jak wrócić do domu. Z nieznanego mu powodu czuł, jakby jakaś jego część odeszła. Albo dokądś wróciła, ciężko było sprecyzować. Ręka, która łapie myśli, może oczy, które widzą głosy. Coś w wewnętrznym radiu Daniela poprzestawiało się, choć może to wszystko było wybujałą wyobraźnią podsycaną wściekłością i żalem, że dał się nabrać.

– Sztuczka... też mi sztuczka – burknął pod nosem. – Ty przechodzisz przez drzwi, a my uciekamy, póki nas nie widzisz.

Ruszył więc z powrotem, patrząc w pierw za jeziorem, którego nigdy tu nie było, a potem za amboną. Przeszedł obok niej i doszukiwał się saren, które w popłochu zbiegły, kiedy czterej chłopcy przeszli obok grupy zwierząt, a na koniec wypatrywał ścieżki wśród świeżo zasadzonych sosen. Kiedy jego stopy wpasowały się w miękką ziemię i wsiąknęły w nią jak w błoto, dopiero wtedy poczuł zadowolenie. Trwało to tylko chwilę, ponieważ przypomniał sobie dziadka. Przypomniał sobie zsyte dłonie babci i stróżki krwi na świeżych ranach po wszytych w skórę żyłkach. Ojciec czekał w domu, zapewne niecierpliwił się, bo niebo, wtedy jeszcze granitowe, teraz przybrało granatowy kolor. Spoglądał na nie i gdyby nie to, że jego głowę przepełniało multum myśli, bałby się wrócić. Las był

ciemniejszy, straszniejszy i z pewnością nie zachęcał do ponownej zabawy w eksplorację miejsc nieistniejących.

Ze spuszczoną głową wrócił wprost do domu. Wsłuchany w swe myśli, otworzył cichutko drzwi i nie rozglądając się, wbiegł na górę po schodach. Błagał w duchu, żeby nikt się do niego nie odzywał, nikt go nie wołał i nikt nie zwracał na niego uwagi. Sam nie wiedział, jak udało mu się po cichu przemknąć na górę.

Złapał za klamkę drzwi i znów poczuł się nieswojo. Dopiero kiedy spojrzął na ściany pokoju o ciepłych barwach, zrozumiał po części ogarniający go niepokój. Na jednej z nich porozwieszane były jego portrety narysowane węglem. Gdy dostrzegł waniliowe meble, wielkie lustro w kącie i brak dywanu, wtedy doszło do niego, że klamka do drzwi nie jest podłużna, ale kolista. Wzmogło się w nim uczucie, które zaczynał pojmować.

Lustro. To w nim widział odbicie dziewczynki, która kiedy tylko ujrzała chłopca, powiedziała na głos:

– Nie wejdiesz tu, póki cię nie zaproszę.

A on wszedł. Zamknął za sobą drzwi, stanął i czekał. Już wiedział.

Teraz żyje ona, a on jest Murarzem.

* * *

– Kłamiesz... – z wahaniem i niedowierzaniem Daniel rzucił w stronę dziewczynki. Jeszcze nie zdążyła odpowiedzieć, a on już wiedział. Wszystko. W jednej chwili, za pomocą myśli.

Dziewczynka się zaśmiała. Była przerażona, ale tylko chwilę. Podeszła i stanęła naprzeciw niego tak, aby widział delikatny makijaż zakrywający niedoskonałości na jej twarzy, opływające szyję dwa czarne warkoczki i ciemne, fiołkowe oczy, przypominające płatki kwiatu.

– Nie jesteś tutaj – objęła ruchem ręki pokój – tylko tutaj – dokończyła, stukając się palcem po skroni. – Tylko tutaj!

Tylko tutaj, pomyślał Daniel. Stał na panelach podłogowych i nie wiedział, gdzie stoi naprawdę. W pokoju chłopca czy dziewczynki? W granicach wyobraźni czy poza nimi?

– Niemożliwe... – powiedział. Zatkanął dłonią usta, bo znów wyprzedził ją myślą, które łapał jak prezenty i wszystkie pochodziły od jednej osoby.

Dziewczynka skrzyżowała dłonie na klatce piersiowej. Na jej czarnej koszulce widniał napis: BLACK SABBATH. Chwilę stała w bezruchu ze spojrzeniem utkwionym w chłopcu, opierając się to na jednej nodze, to na drugiej. A potem dotknęła Daniela. Dotknęła jego ucha, włosów, nosa, ust.

– Jak? – spytała. Oboje wiedzieli jak. Myśl.

Daniel czuł się tak, jakby znajdował się w oku cyklonu. Kręcił się wkoło i spadał, ale jednocześnie stał twardo na ziemi. Świat wirował w jego oczach, a w głowie sztorm percepcji topił statek świadomości. Tracił ją, myśląc o dziewczynce, która była ponad nim. Nie chciał odpowiadać na pytanie. Nie musiał, bo był jej myślą.

– Jejku! To naprawdę ty! Jak się tu... nie, jak się stamtąd wydostałeś?

– Z domu?

– Nooo! – uśmiechnęła się. Oczy dziewczynki błyszczały. – Często o tobie myślałam. Byłeś... nie, ty jesteś idealny! Zawsze chciałam być chłopcem takim jak ty – odparła, a Daniel wiedział, że chciała być akceptowana. Gdyby powiedziała, że lubi herbatę, Daniel pomyślałby o ulubionym kubku. Tak to działało, ale nie do końca było zgodne z prawidłowym pojęciem prawdy. – I naprawdę nosisz takie

trampki! Zawsze chciałam je mieć. Poza tym, twoi rodzice naprawdę byli kochającymi rodzicami? Wiedli spokojne życie? Potrafili cię wychować?

– Są! – poprawił ją Daniel z oburzeniem, choć może tak naprawdę byli. Wszystko, co było wcześniej, zostało za drzwiami. – Dlaczego...

– Dlaczego co?

Daniel nie wiedział, jak uchwycić w słowa myśl, którą chciał przekazać. A potem przypomniał sobie, że ma całą kopalnię pojęć w jej głowie. Kiedy zrozumiał działanie radia, głowa dziewczynki stała się otwartą księgą. Łatwo było nawet stamtąd wyczytać, że ma ona czternaście lat.

– Dlaczego istnieję?

– Bo tak sobie zażyczyłam? Często myślałam, że mogłabym żyć sobie jako chłopiec, mieć normalnych rodziców, żyć w mieście, gdzie wszyscy słuchają hardrockowych zespołów. Ale chyba posunęłam się za daleko i... – wzruszyła ramionami.

– I przez przypadek stworzyłaś to wszystko. – Danielowi było niedobrze. Gdyby istniał tutaj jako Daniel, nie jako łapacz myśli, akceptacja nie byłaby problemem. Ale tu był myślą, częścią tego, co nazywa się świadomością zbiorową. I widział ją, linię, która łączyła ich ciała i rozum. Po jego stronie była cieniutka, pojedyncza, a przy dziewczynce rozchodziła się na boki, tworząc pajęczynę. – Jestem tym, kim chciałaś być?

Pokiwała energicznie głową. Jej kruczoczarne warkocze odbijały się w powietrzu jak sprężyny.

– Czyli masz na imię...

– Daniela – powiedziała. To też wiedział już wcześniej.

– I jesteś po prostu małą, zbuntowaną nastolatką z kompleksami? Słuchasz zespołów rockowych i jesteś szkolnym popychadłem? Lubisz być smutna, lubisz być sama, lubisz zimno, jesień i ból?

– Zamknij się! Nic nie rozumiesz!

– Ja to wiem – odparł. Popukał się palcem po skroni. – Wiem o tobie wszystko – i od tego momentu Daniel nie był już tym samym Danielem.

– Jesteś tylko myślą. Tylko jedną, główną myślą, której mogłabym się pozbyć, gdybym chciała! Patrz!

Dziewczynka poszła do łóżka. Położyła się na nim i zamknęła oczy.

Daniel pożałował, że był zbyt bezpośredni. Czekał i zastanawiał się, co Daniela chce mu pokazać. Kiedy zamknęła oczy na dłużej, chłopiec zbudził ją krzykiem rozdzierającym uszy.

* * *

Daniela nie tylko była nastolatką z naniesioną zmywalną farbą na włosach, zbuntowanym dzieckiem słuchającym ostrych brzmień zespołów śpiewających o narkotykach, seksie i dewiacjach. Nie była tylko brzydkim kaczątkiem samotnie krążącym po jeziorze. Postrzeganie osoby zmienia się dopiero, kiedy patrzy się na nią z różnych perspektyw. Wtedy może okazać się tak, że brzydkie kaczątko jest naprawdę pięknym łabędziem, przeciętny biurokrata nadczłowiekiem, a wyrzutek kimś pokroju Boga.

Daniel myślał, że na zewnątrz zawitał ranek. Szkarłatny powiew światła przebrnął przez gęsty mrok nocy jak pylisty wietrzyk, który spowił pokój bladymi odcieniami czerwieni. Chłopiec tak z początku sądził. Potem niebo zmieniło się w krwisto-czerwoną poświatę, która zaczęła spływać po szybach jak strugi, które pozostawiają po sobie krople deszczu. Daniel pewien był, że świat zaczyna się topić tak, jak topi się ludzka skóra przy zetknięciu się z czymś o bardzo wysokiej temperaturze.

Sufit, ściany, panele podłogowe – każdy kąt mieszkania, każdy kąt przedmiotu – wszystko otaczała jaskrawa poświata. W pokoju zrobiło się duszno i ciasno, powietrze ścisnęło krtań i kłuło w oczy. Czy dalej byli w świecie złożonym z trzech wymiarów? Daniel nie miał pojęcia, wiedział tylko, że kiedy otworzyłby okno, zamieniłby się w sypki popiół.

Spojrzał na Danielę, a potem przejrzał się w rozświetlonym lustrze. Twarz jego zamieniła się w ropiejący balon, z którego spływały strumienie ciemnej krwi. Skóra na dłoniach skapywała na panele podłogowe przy wtórze syku, takim, jaki słyszy się przy gaszeniu świecy opuszkami palców. Daniel powoli zaczynał zmieniać się w bezkształtną masę, z upływem czasu upodabniającą się do topniejącej rzeźby woskowej. Nie czuł ciepła, nie czuł żarzącego się za oknem świata. Wszystko topiło się pod wpływem woli Danieli, która była jak Yggdrasil. Jak słońce jaśniejące nad wszystkimi światami.

Krzyk chłopca przebił się przez barierę percepcji i wszystko w jednej chwili wróciło do normy. Daniela siedziała na łóżku i starała się ukryć zmęczenie, które spływało z niej rwącymi rzekami potu. Pojedyncze włosy przylegały do jej różowawych policzków, a tży, które zgarniały część makijażu, tworzyły czarne linie.

– I? – spytała drżącym głosem. – I?

Daniel musiał usiąść. Nieprzypadkowo skrzyżował nogi i spuścił głowę. Za oknem już widniało i nie wiedział, jak powinien to rozumieć. Niedawno było południe, jeszcze przed chwilą noc, a teraz słońce widnieje ponad horyzontem.

– Słyszę cię wyraźnie – powiedziała Daniela. Popukała się w skroń. – Jesteś moją myślą, nie potrafisz być samodzielny. Teraz zastanawiasz się, dlaczego na zewnątrz jest już dzień i czy to nie kolejna iluzja, którą stworzyłam. Po pierwsze: dla ciebie czas płynie inaczej. Nie jesteś człowiekiem, poruszasz się po innej osi czasu. A co do iluzji, to ja ich nie tworzę – parsknęła. – To wszystko sprzed chwili działa się naprawdę! Moje myśli są jak nieuformowana glina. Są materialne, wszystkie! Spójrz! – Pokazała ruchem głowy na ścianę pełną rysunków. Od góry do dołu wisiały na niej białe kartki ze szkicami Daniela nakreślonymi węglem lub ołówkami. Jego twarz ze wszystkimi szczegółami, Daniel siedzący na dywanie w swoim pokoju, Daniel piszący markerem na trampkach, widok zza okna Daniela, rodzice Daniela, dom Daniela, pokój, łóżko ze śpiącym Danielem i mnóstwo innych, każde z osobna przedstawiające ciąg, rutynę, życie Daniela. – Nigdy ich nie narysowałam. Zamknęłam oczy i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, ta część ściany była już wypełniona wszystkimi rysunkami. To ty wypłynąłeś ze mnie...

– Ciekawe, co by się stało, gdybyś zasnęła i śniła o moim zniknięciu. Zniknąłbym? – spytał Daniel i postukał się po skroni.

Kształtują mnie myśli. A ja kształtuję je. Jestem nieskończona.

Jesteś ograniczona. Nie wiesz wszystkiego.

Nie jestem ograniczona! I mogę się dowiedzieć czegokolwiek, kiedy tylko chcę. Kiedy znów będę chciała być młoda, to przeniosę się do czasów, kiedy byłam młoda.

Zapomnisz, co to znaczy rzeczywistość.

Nie, nie, nie! Nie waż się tak do mnie mówić! To ja cię stworzyłam, jestem twoją panią! Jestem twoim bogiem!

Jesteś pusta emocjonalnie. Wyobraźnia to tylko twoja skorupa. Nie istniejesz tak samo jak ja.

Jestem pełna. Pełna myśli.

– Pełna. Pełna! Słyszysz to? – wykrzyczała na głos. Wstała z łóżka oburzona. Jej zaciśnięte pięści uniosły się w górę, a twarz pobiadła. – Patrz!

Krzyknęła, zamknęła oczy. Nastąpiła ciemność. Wszechobecna czerń nie przeszkadzała w tym, by Daniel widział Danielę. Doskonale wiedział, że tworząc jedność, zawsze będą się widzieć, dopóki są siebie świadomi. Wtedy Daniel wpadł na pewien pomysł.

Czerń zaczęła blaknąć pod wpływem powstających w niej barw. Najpierw Daniel widział niewyraźne plamy. Widział mrok wrodzoną wadą wzroku, która z chwili na chwilę zaczęła słabnąć. Pojawiła się ścieżka, ziarna piasku i miętka ziemia. Pojawiły się żółta trawa, kamienie, wychodzące spod nich kończyny. Wyrosły drzewa, marska kora, spadające na ziemię liście. A na koniec, jeszcze nim niebo zajaśniało południowym blaskiem, pojawiły się domy ustawione w szeregu po jednej stronie ścieżki. Za oknem jednego z nich zauważył chłopca, który wyglądał na zewnątrz znużonym spojrzeniem. Był tony i miał duże oczy. W tym świecie na imię miał Mietek i zginął jako pierwszy zaraz po tym, jak zobaczył wyłaniającą się z próżni Danielę i Daniela. Na jego oczach nie zmaterializowali się w jednej chwili, wyglądało to tak, jakby światło i cień skupiły się w miejscu, tworząc wprawdzie kontury przezroczystych przedmiotów, a potem uwypuklając ich kształty. Oczy Mietka zrobiły się wielkie jak dwie piłeczki golfowe, a głowa, która jeszcze przed chwilą opierała się na dłoni, przyklejona była do okna. Patrzył na chłopca i dziewczynkę z rozdziawionymi ustami, które co chwila zakrywała mgiełka pojawiająca się na szybie.

– Nie zamykaj oczu – powiedziała półszepem Daniela i znów zacisnęła pięści, które cały czas uniesione były w górę. Podtrzymywały niebo. Wiedzę, moc, glinę, myśli.

Daniel posłuchał. Widział, jak okno domu Mietka i mur wokół zakrzywiają się, tworząc spiralę cegieł, szkła i pyłu. Okno nie było już prostokątne, razem ze ścianą tworzyły coś na miarę oka, którego źrenicą był chłopiec. Wtedy Danielowi przypomniała się obietnica, którą złożył wszystkim trzem Murarzom.

– Niecee! – wykrzyczał gdzieś w stronę odległego horyzontu. Nie zdążył wstać i pomóc Murarzowi Jeden. Jego ciało nagle uległo rozczłonkowaniu i zaczęło szybować w powietrzu tak, jakby przestrzeń wewnątrz domu nie podlegała grawitacji. Widział podzieloną twarz, każdy palec dłoni z osobna wirujący w powietrzu, plamy krwi, zagubione oczy. Starał się utwierdzić w przekonaniu, że to nie dzieje się naprawdę. Nie w świecie, w którym żyje. Nie ma światów innych niż ten, w którym istnieje. To nazywa się iluzją, koszmarem. – Przestań! – krzyknął do Daniela i pchnął ją, a ona, wyrwana z rytmu, przestała.

Była jeszcze bardziej zmęczona.

– Mogę spalić tę wioskę! Mogę zrobić, co tylko chcę!

– Możesz się pierdolić! – wykrzyczał w jej stronę Daniel, odnajdując właściwe słowo w jej głowie.

Daniel słyszał, jak głos dziewczynki odbija się echem w jego głowie, wypowiadając na okrągło słowa: „Nikt nie będzie mówić, co mam robić!”. Głupie i samolubne. Daniel nie do końca rozumiał jej tok myślenia, mimo że słyszał wyraźnie wszystkie myśli. Jakaś część Daniela mówiła jej, że efekt zmian jest nieodwracalny. Niszczenie i zmienianie rzeczywistości nazywała destrukcją. Dlatego nigdy nic nie wychodziło z jej pokoju, starała ograniczać się w miarę możliwości. Chłopiec bał się, że wypowiadając ostatnie słowa, stał się myślą, która zburzyła wewnętrzny mur rozsądku. Bo kto wcześniej podważał jej wszystkie hipotezy na temat rzeczywistości i materii, których naczytała się w fantastyczno-naukowych książkach lub obejrzała w filmach? Nikt, nikt nie znał jej tajemnicy. Daniel, którego uwolnili Murarze, był pierwszy. I teraz Murarze giną, by znów dosięgnąć Daniela i doprowadzić go do właścicielki. Znów złapią go za rękę, by móc uwolnić się z paradoksu, w którym zapętlili się po śmierci, zapewne nie wiedząc, gdzie tak naprawdę mają iść.

Wioska w jednej chwili stała się żywym płomieniem. Ciszę rozerwał krzyk osób czujących na sobie potworny żar. Było gorąco, ogień był prawdziwy i palące się w domach ciała też były prawdziwe. Dym dobywający się z mieszkań niósł ze sobą swąd zwęglonego mięsa. Cylindry dymu zmieniały się w potężne, czarne chmury. Słońce skryło się za nimi, ale światło ognia równie skutecznie raziło w oczy.

Choć zaczął krztusić się dymem i rozglądać za czymś, co mogłoby mu pomóc się stąd wydostać, nie mógł skupić się na tyle, aby odszukać pomoc. Za zamkniętymi powiekami stali trzej Murarze z oczami pełnymi nadziei, siedzącymi nad tabliczką ouija.

Mimowolnie wysłał Daniela myśl i płomienie, sięgające jeszcze przed chwilą nieba, zelżały, stając się małymi ognikami.

Destrukcja, to działa się naprawdę. Kiedy chłopiec wysłał myśli do właścicielki, ta zaczęła pęcznieć od wewnątrz. Jej szklane oczy rozszerzyły się. Materia, którą się chwaliła, myśli, które były gliną – to wszystko przestało mieścić się w jej głowie. Daniel zasiał w niej Murarzy, którzy wyrosli jak gliniane figury. Pokazał jej uczucie, którego pozwolił mu doświadczyć Murarz Jeden, kiedy włożył w jego ciało rękę.

To wszystko dzięki oku, którego dwa pierścienie kręciły się wokół. Kiedy widział je wyryte na tablicy, wtedy jednak nie mówiło mu zbyt wiele. To dwie osie, Daniel i Daniela, krążące wokół absolutu. Dzięki Murarzom Daniel oddzielił się po części od Daniela.

Dziewczynka kucnęła i złapała się za głowę. Była przepecona. Świat wrócił do normy. Wszystkie zwęglone ciała, spalone drzewa i zawałone domy wróciły do głowy dziewczynki.

Na koniec Daniel wypowiedział w myślach słowa, których nauczył się na pamięć, czytając je na okrągło. Pewien był, że Daniela i o nich nie miała pojęcia.

A CAPITE AD CALCEM A CASU AD CASUM MUNDUS VULT DECIPI ERGO DECIPIATUR.

– Przestań! Błagaaaaaam! Przestań – krzyczała żalonym głosem Daniela. Leżała na ziemi i płakała, choć łzy nie leciały z jej nienaturalnie wielkich oczu.

Zaczęła krzyczeć najgłośniej, jak potrafiła. Tak głośno, że słyszał to wewnątrz czaszki. Przypomniła sobie o kartce papieru, którą trzymał w dłoniach. Miała na sobie drobinki kurzu, które wznosiły się w powietrze, kiedy na nią dmuchnęła. Daniela nienawidziła kurzu, więc nie miała go w swoim pokoju. Tak chciała.

W nieznanym do tej pory bólu, w kakofonii krzyku i rozrywających ją myśli, podrygiwała na ziemi. A potem zniknęła, podobnie jak Daniel, który chwilę przedtem zapragnął znaleźć się w bezpiecznym miejscu i zapomnieć o całym zdarzeniu.

* * *

Była już historia, której początek pojawił się z nicości. Wtedy samoistnie utworzył się byt w sposób wykraczający poza bariery logiki. Był to jedyny przypadek, ponieważ nicość jest jednorazowa. Tego przypadku Daniel nie pamiętał. Zrobił to na własne życzenie.

Pojawił się z powrotem w pokoju, nie wiedząc nawet, że to zrobił. Siedział na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, patrząc przed siebie, na twarz odbijającą się w szybie, na którą padały refleksy światła. Była noc. Znowu.

Daniel nie wiedział, skąd wzięli się trzej chłopcy siedzący obok niego w tych samych pozycjach. Patrząc na nich, czuł jakby swędzenie wewnątrz głowy. Gdzieś ich widział, skądś kojarzył, nie miał jednak pojęcia, dlaczego. Jakby kiedyś ich znał... i po prostu o nich zapomniał.

Daniel spojrział na chłopca, który wyciągał do niego rękę z kartką niezręcznie zawiniętą w rulon. Chłopiec kazał nazywać siebie Murarzem Trzy, a właściwie to Murarz Jeden kazał Danielowi tak go nazywać. Skądś wiedział, jak to wszystko się skończy. Murarze umrą w katuszach. Numer jeden zostanie rozczłonkowany, numer dwa wraz z młodszą siostrą spalą się na popiół, zatrzaśnięci w pokoju płonącego mieszkania. Numer trzy ojciec zaszyty kuchennym nożem. Kiedy zobaczy zwęglone ciało żony, rodziny i przyjaciół, zmieni się. Teraz Murarz Trzy ma zdrowe ciało, nie ma żadnych ran i nawet się uśmiecha.

A jednak pamiętał. Te obrazy przypominały nocny koszmar. Postanowił nie dzielić się tym z przyjaciółmi, więc wziął zwinięty w rulon papier. Przełknął ślinę, kiedy go odwijał. Słowa zapisane na kartce były w obcym języku, którego nie rozumiał.

– Co to znaczy? Nawet się nie rymuje.

– Ty nam powiedz.

– Chciałbym to rozumieć, ale...

...literki zamieniły się miejscami i zdania, które jeszcze przed chwilą zapisane były w łacinie, zostały przetłumaczone. Daniel odczytał je i przypomniał sobie historię dziewczynki z czarnymi warkoczami. Pojął działanie radia, które jeszcze przed chwilą uważał za skazę w umyśle.

Zrozumiał, że jest absolutem.